



KRZYSZTOF BONK

OTCHŁAŃ

CYKL PENDORUM

Krzysztof Bonk

OTCHŁAŃ

Cykl Pendorum II

© Copyright by Krzysztof Bonk
Projekt okładki: Krzysztof Bieniawski
ISBN wydania elektronicznego: 978-83-7859-948-7
Wydawnictwo: self-publishing
e-wydanie pierwsze 2018
Kontakt: bookbonk@gmail.com

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

Konwersja do epub i mobi [A3M Agencja Internetowa](#)





I. NOWY ŁĄD

Szczęśliwie pokonujemy drogę morską przez wewnętrzne morze kontynentu Pendorum. W pobliżu brzegu opuszczamy z okrętu łódź i nasza siódemka płynie prosto w kierunku nieznanego nam łądu Otchłani.

Wyskakuję do wody w momencie, gdy ta sięga mi do kolan. Czuję w nogach zimno oraz wilgoć, które wespół z nowym otoczeniem działają na mnie niezwykle ożywczo.

Jest wczesny ranek i w chłodnym powietrzu unosi się dość gęsta mgła, przez co trudno jest dostrzec szczegóły jawiącego się przed nami otoczenia. Idziemy blisko siebie niezorganizowaną grupą i rozglądamy się z uwagą na boki. Po opuszczeniu kamienistej plaży wkraczamy na skąpą, wilgotną łąkę z pozółkłą, przegniłą trawą. Dalej towarzyszą nam już kolczaste zarośla i pojawiają się pierwsze ogołcone z listowia drzewa.

Początkowa cisza wkrótce przerywana jest przez donośny rechot żab, a wtóruje im krzykliwe krakanie ptaków. Gdzieś z oddali dobywa się także potępieńczy skowyt trudnej do określenia istoty, być może w ogóle nam nieznaney.

Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami podejmujemy starania, aby nieustannie podążać na północ, zmierzając przez całą Otchłań aż do Srebrzystych Gór, z których można zejść do księstwa Razzinal. Choć posiadamy również alternatywę, czyli marsz w poprzek Otchłani do kolejnego akwenu wodnego i ponowne przechwycenie statku. Za jego pomocą moglibyśmy wypłynąć na szeroki Światowy Ocean. Przed nami stanęłaby wówczas niezliczona ilość dróg, z których jedna prowadziłaby nawet do niewielkiej wyspy, jaką był niegdyś mój pierwotny dom.

Ostatecznie mamy więc dwa kierunki podróży. Ja natomiast, po niespodziewanym obwołaniu mnie przywódczynią wyprawy, jestem niezwykle rada z tego powodu, że już na początku udaje się nam uniknąć

ostrzych sporów. Choć wiem, że w tak zróżnicowanej grupie długotrwała i całkowita jednomyślność będzie praktycznie niemożliwa. Jednak, aby w ogóle utrzymać nas razem, muszę pamiętać, by brać pod uwagę głos każdego z moich przyjaciół. Natomiast wytyczane kroki powinny być wypadkową wskazywanych rozwiązań. Bowiem jak wspominał Etos: „w jedności mądrość, siła i ostateczne zwycięstwo”.

– Na walecznego Gragezona! Toż to xeratoks!

Z rozmyślań wyrzywa mnie rozpaczliwy głos Ravela. I nagle dostrzegam, jak z gęstej mgły wyskakuje znane mi monstrum tym razem w kolorze czystego srebra. Rzuca się zajadle na mężczyznę z chanatu Precis, a ten w ostatniej chwili uratowany zostaje przez Exona. Uderza on mieczem w masywny łeb bestii, pozostawiając krwawą pręgę, a przede wszystkim ściągając na siebie uwagę potwora. I zaraz wojownik z Saladior sam musi czynić sprawne uniki przed wystrzeliwanym w niego jężorem.

Osobiście pragnęłabym krzyknąć, aby ostrzec pozostałych przed niespodziewanym atakiem xeratoksa ogonem. Lecz taka sposobność mnie, niemowicie, nie jest dana. Dlatego tylko rozpaczliwie oglądam, jak Gabu otrzymuje wspomnianą częścią ciała potężne uderzenie, ale na swoje szczęście jedynie w swój niezwykle masywny tyłek. Zaskoczony grubas po ciosie nawet nie rusza się z miejsca, natomiast pozostała część uzbrojonej drużyny już otacza xeratoksa.

Viria raz za razem wyrzuca ze swego gardła wojenne okrzyki i uderza ostentacyjnie toporem o tarczę. Kalilla podskakuje zwinnie do bestii i pierwszym wypadem niemal przeszywa jej oko grotem włóczni. Z kolei Ravel również odzyskuje zimną krew i zarzuca sieć na głowę potwora. Ten czyni unik, a osaczony miota się chwilę w miejscu, aż gwałtownie się wycofuje i na powrót ginie w gęstej mgle.

Wszyscy obecni zastygają w pozycjach bojowych gotowi zarówno do obrony, jak i ataku, a w przestrzeni cały czas rozchodzi się złowrogi warkot bestii. Lecz nieoczekiwanie odczytuję w brzmieniu jej głosu coś nietypowego. Bynajmniej nie jest to znany mi z aren Terraticos zew krwi. Odbieram żalosne wołanie niczym o pomoc.

Ostrożnie wychodzę przed wszystkich i daję znak ręką, aby cofnęli się o krok. Z pewnym wahaniem, ale to czynią, gdy ponawiam zdecydowanie

gest. I raptem wyskakuje na mnie xeratoks z rozwartą paszczą. Gwałtownie się cofam, a on niespodziewanie zastyga tuż przede mną, by następnie wydobyć ze swej gardzieli straszliwie żalony jęk.

I wtedy to dostrzegam. Jedną z jego czterech łap, zakończonych szponiastymi pazurami, oplatają zębate wnyki na łańcuchu, raniąc dotkliwie przednią kończynę. Wskazuję na nią ręką pozostałym, a oni, jak jeden mąż rozluźniają szyk bojowy. Wpatrujemy się dłuższy czas bez słowa w szamoczące się monstrum, to kulące z bólu aż Exon zdecydowanie oznajmia:

– Zabijmy to coś.

– Zgadzam się – przyznaje Kalilla. Na co agresywnie reaguje Ravel:

– Zdawało mi się, że to Anrea tu dowodzi, zatem?!

– Właśnie! – Viria staje po jego stronie. Nastaje dłuższa chwila ciszy przerywana jedyni skowytami xeratoksa, aż kładąc zachowawczo dłoń na torsie swego partnera, głos ponownie zabiera Kalilla:

– Przewodzi nami Anrea, to prawda, niech więc ona podejmie decyzję. Zabijamy potwora czy też ruszamy dalej.

W odpowiedzi kręcę przecząco głową, bowiem nie zadowala mnie żadne z proponowanych rozwiązań. Jednocześnie nie mam w sobie dość odwagi ani uporów, żeby forsować własne, ukryte zamierzenie, dlatego gestykuluję:

– „Oddalmy się, rozbijmy obóz i przeczekajmy mgłę. Poruszanie się w małej widoczności jest niebezpieczne”.

Wszyscy wbijają wzrok w Kalillę, aby przetłumaczyła moje gesty. Ona jednak tylko lekceważąco oznajmia:

– Mamy stąd odejść jak tchórze.

Na te słowa krzywię się na twarzy i przybieram kwaśną minę. Przecież nie to chciałam przekazać. I wtedy pomoc przychodzi zupełnie z nieoczekiwanej strony. Głos zabiera Adora i z całą dokładnością przekłada na głos mój przekaz, po czym skromnie dodaje:

– Mój brat był... Jest niemową. Znam bardzo dobrze język gestów i mogę tłumaczyć wolę Anrei.

Kalilla mierzy krytycznie pyzată dziewczynę wzrokiem i rezolutnie do niej oznajmia:

– Zatem to ty bądź ustami naszej... przywódczyni, ja o to nie zabiegam.
– Obejmuje Exona i razem ruszają przodem. Viria z Ravelem kłaniają się z uznaniem Adorze i stanowią drugą parę. Natomiast ja, już uspokojona, zwracam się gestami troskliwie do Gabu:

– „Dasz radę iść”? – Spoglądam na jego masywny tyłek.

Adora tłumaczy mój przekaz na głośno wypowiedane słowa, a wtedy słyszę męską, nieco strapioną odpowiedź:

– Iść raczej mogę... Ale nie wiem, kiedy znowu usiądę... – Grubas masuje się po obolałych pośladkach, a zaraz głaska go po nich Adora i razem stanowią trzecią parę znikającą we mgle.

Sama, chociaż podobno dowodzę, idę ostatnia. I czuję się całkiem dobrze, zabezpieczając tyły naszej drużyny, w tym tyłek Gabu. O przód naszej kolumny jestem spokojna. Exon oraz Kalilla powinni sobie poradzić w razie niebezpieczeństwa. Bardziej martwiłabym się o ich kolejną sprzeczkę z Ravelem i Virią.

Tymczasem wkrótce docieramy na wilgotną polanę i tutaj nasza mała kolumna się zatrzymuje. Wyjmujemy z toreb przy pasach pożywienie i każdy zasiada w preferowanym przez siebie towarzystwie, aby się spokojnie posilić. Jedząc, czekamy aż słońce oraz wiatr wraz z późniejszą porą dnia rozgonią poranną mgłę.

Osobiście kończę posiłek pierwsza i przekazuję Adorze, że idę zbadać najbliższą okolicę. Tak oto oddalam się od skromnego obozowiska i ukradkiem powracam tam, gdzie od pewnego czasu ciągnie mnie ze wszystkich sił.

Przypominam sobie, jak przybyłam na kontynent Pendorum w kajdanach krępujących me ręce i nogi. Pamiętam też dokładnie moje późniejsze zniewolenie i zabijanie na rozkaz. Teraz z kolei, mając w pamięci tamten stan, żywię gorące przeświadczenie, że nikt nie powinien być niewolnikiem. Dlatego idę prosto do uwięzionego xeratoksa, żeby zanieść mu wolność. Będzie nią przecięcie okowów bestii albo jej śmierć.

Naraz, tuż przed sobą, we mgle, słyszę złowrogi warkot i na ten dźwięk uzbrajam się w dwa miecze. Czynię jeszcze ostrożny krok naprzód i oto jest, spętany xeratoks. Spoglądam w jego czerwone, demoniczne ślepie, starając się zaszcześcić w nim ufność. Lecz wiem, że samo spojrzenie nie wystarczy. Dlatego powoli chowam miecze do pochew przy pasie i okazuję puste, bezbronne dłonie. Potwór wodzi po mnie wzrokiem, jakby starając się zrozumieć, co takiego czynię i co zamierzam. Ja zaś z wolna do niego podchodzę. Już wręcz czuję na ciele jego gorący oddech z rozwartej gardzieli, gdzie widnieje tak duża ilość zębów, jakiej nie potrafię zliczyć.

Zastygam dłuższy czas w miejscu i daję bestii oswoić się z moją obecnością, moim wyglądem oraz zapachem. Następnie próbuję bez strachu wyciągnąć przed siebie dłoń i dotknąć xeratoksa, nawiązać z nim więź.

Gdy wtem monstrum wystrzeliwuje ku mnie swój niebotycznie długi jęzor. Zawija mi się on kilka razy wokół szyi, oplatając ją mocno i coraz bardziej się zaciska. I zaraz braknie mi tchu. Odruchowo chwytam za rękojeści mieczy, ale jestem na bezdechu i kompletnie bez sił. Obraz przed moimi oczyma staje się zamazany i odnoszę wrażenie, jakby srebrzystego xeratoksa pochłaniała mętna mgła. Wraz z tym zjawiskiem rozmyty staje się dla mnie cały świat. Uginają się podę mną nogi i padam na kolana. Próbuję jeszcze rozpaczliwie wyciągnąć przed siebie rozczapierzone dłonie, lecz moja świadomość w jednym momencie znika.

Budzę się po nie wiem jak długim czasie. W pierwszym momencie chwytam się za bolące gardło i niespodziewanie uderzam dłonią o metal. Zaskoczona zauważam przy swojej szyi połyskującą klingę miecza. Wiodę wzrokiem po ostrzu aż do rękojeści i oglądam jej właściciela. Jest nim Exon. Zaraz z boku dostrzegam Kalillę, która wyciera w szmatkę krew z grotu swojej włóczni. Zaś na widok broni swego partnera przy moim gardle kobieta z księstwa Razzinal łapie go zdecydowanie za ramię i ostro oświadcza:

– Rozmawialiśmy o tym, to nie jest sposób.

Na te słowa mężczyzna zabiera swoje ostrze i chłodno do mnie przemawia:

– Nie zamierzałem cię skrzywdzić ani przestraszyć, a jedynie ocucić. Prawdziwa gladiatrix potrafi wyczuć niebezpieczeństwo i zmobilizować

wszystkie siły nawet we śnie, by się przebudzić.

Kiwam z lekka głową na zgodę i oszołomiona siadam ze skrzyżowanymi nogami, ciągle masując obolałą szyję. W pobliżu dostrzegam odcięty język xeratoksa, zaś nieco dalej jego samego z wyłupionymi oczyma i mocno okaleczoną głową, a przede wszystkim martwego.

Patrzę tak na zwłoki potwora, gdzie satysfakcja z jego śmierci miesza się we mnie ze smutkiem. Z kolei Kalilla, jakby odczytując moje odczucia, matczynym głosem oświadcza:

– Bestia, którą chciałaś uwolnić to nie pies, który będzie ci za to wdzięczny, czy rumak, którego będziesz mogła oswoić i dosiąść. Znajdujemy się w Otchłani, a ta rządzi się własnymi prawami. I wierz mi, nie uświadczysz tu dobroci czy bezinteresowności, nie licz też na okazywanie honoru. To przekłete miejsce i wszystkie zamieszkujące tu istoty noszą znamiona przekleństwa. Skalane są one pierwotnym grzechem mitycznej Anrei. Pamiętaj o tym.

– „Chciałam go tylko uwolnić, aby był wolny, jak my” – gestykuluję, czyniąc to dość bezradnie.

– Od razu się tego domyśliliśmy – stwierdza Kalilla. – Dlatego po twoim zniknięciu podążyliśmy za tobą i tylko dlatego ciągle żyjesz. Natomiast xeratoksa i tak nie dałoby się uwolnić.

– „Rozumiem i... dziękuję”.

– Chodźmy już do reszty – oświadcza Exon. – Pozostawiliśmy najslabszych z nas bez należytej obstawy. Nie powinniśmy się więcej rozdzielać. W Otchłani za wszelką cenę musimy trzymać się razem. Siedem osób może ma jakieś szanse, ale pojedynczo czy w parach nikt nie będzie w stanie tu dłużej przetrwać.

– „Zatem ruszajmy” – przyznaję wojownikowi słuszną rację. Spoglądam jeszcze na martwego xeratoksa, po czym przenoszę wzrok na Kalillę oraz Exona i wspominam sentencję Etosa: „pewnego przyjaciela poznasz w sytuacji niepewnej”.

Tak, ta para osób właśnie zdaje egzamin lojalności wobec mojej osoby. Gdyby rzeczywiście posiadali względem mnie nieczyste intencje, nie

narażaliby swego życia w starciu z krwiożerczą bestią i już bym nie istniała. Muszę być im za to wdzięczna i o tym pamiętać.

Wkrótce taszczy my ze sobą okazałych rozmiarów udziec z xeratoksa przewidziany na dodatkową strawę i powracamy wspólnie na polanę do reszty grupy. Lecz tutaj czeka nas niespodzianka. Oto napotykamy oddział obcych ludzi z tatuażami na twarzach oraz w grubych futrach. Moje skojarzenie ich z barbarzyńcami, z którymi niegdyś walczyłam na arenie, jest natychmiastowe. A w parze z tym spostrzeżeniem idzie wyciągnięta strzała z kołczanu i zdjęty z pleców łuk.

Jednak Exon kładzie mi zdecydowanie dłoń na ramieniu, sugerując, abym się wstrzymała. Spoglądamy razem na Kalillę, która z podobnymi ludźmi miła już do czynienia w swej krainie. Ona zaś czyni do nas uspokajający gest ręką i rusza przodem nieuzbrojona. Z jej partnerem idziemy krok w krok za nią i kiedy docieramy do naszych oraz obcych ludzi, jesteśmy świadkami nawiązującej się rozmowy:

– Pozdrawiam waleczny lud Srebrzystych Gór – oświadcza z powagą Kalilla i czyni lekki skłon głową.

– Pochodzisz z Razzinal, jasnowłosa? – pytanie zadaje przybysz, który wychodzi przed szereg kilkunastu pozostałych. Jest bardziej rosły od swoich kompanów. Zza ramienia widać mu wystającą rękojeść przewieszzonego przez plecy długiego miecza, a po bokach, za pasem, ma dwa toporki. Ponadto jego twarz naznaczona jest granatowymi malunkami. Podobnie ufarbowane są jego długie włosy, a także wąsy i broda. Na czole zaś ma wytatuowany czarny krzyż.

– Tak, pochodzę z księstwa – przyznaje z kolei Kalilla i kontynuuje: – Ani was, ani nas nie powinno tutaj być. To drugi kraniec Otchłani względem Srebrzystych Gór. Ale skoro tutaj zawędrowaliście, proponuję, abyśmy wspólnie sobie pomogli, a nie skoczyli do oczu. – Wskazuje Viri oraz Ravelowi, aby zdjęli dłonie z rękojeści swej broni. Oni czynią to z pewnym oporem, a wtedy przemawiający uprzednio barbarzyńca, również uspokaja swoich ludzi. Następnie się przedstawia:

– Me imię to Gront z klanu Mroźnej Rzeki. A wy... widzę, że macie coś, co należy do nas. – Spogląda na znajdujący się w pobliżu udziec xeratoksa.

– Jestem Kalilla z Liliowej Doliny i sama zabiłam wskazaną bestię, więc należy ona do mnie – oświadcza zdecydowanie kobieta, a wobec naraz srogiej twarzy barbarzyńcy, pojednawczym głosem dodaje: – Ale mięsa xeratoksa i tak mamy aż nadto. I w tej odległej krainie pragniemy się nim z wami podzielić.

Na te słowa oblicze Gronta nieco pogodnieje. Patrzy łapczywie na Kalillę z góry na dół i z przekąsem chrypi:

– Tylko mięsem potwora się podzielicie, hę? – Przenosi łakomy wzrok na Virię. Nie mija chwila, a Ravel oraz Exon występują zdecydowanie naprzód. Wobec czego przywódca barbarzyńców uderza gwałtownie dłońmi w swoje uda i rubasznie oznajmia: – Ha! Te wasze cnotliwe zwyczaje rodem z serca Pendorum! Rozumiem, rozumiem! Kobiety są zajęte! Ale gdyby zmieniły zdanie... – zawiesza głos, po czym wyzywająco dodaje: – i zapragnęły prawdziwych mężczyzn! To jesteśmy na posterunku! Gotowi! – Cofa się o krok i kładzie dłonie na drewnianych trzonkach swoich toporków, prowokując Ravela oraz Exona do walki.

Atmosfera na powrót robi się napięta i w tym momencie sama wkraczam do akcji. Przecież to mi powierzono przywództwo, a skoro tak, muszę zareagować. Staję pomiędzy dwiema grupami i zdecydowanie gestykuję do Gronta:

– „Upieczmy mięso i świętujmy w pokoju naszą nową znajomość. Została przelana krew xeratoksa, a nasza krew niech pozostanie w żyłach, gdzie jej miejsce. Tak mówię ja, Anrea” – kończę, uderzając się pięścią w pierś.

Po mimice twarzy obcego przywódcy widzę, że w pierwszej chwili zamierza wyśmiać moje słowa. Lecz zaraz skupia wzrok na mym wytatuowanym udzie i poważnieje. Drapie się on po zarośniętej brodzie i w zamyśleniu powtarza:

– Anrea...

– „Tak”.

Powoli podchodzi do mnie i niezwykle surowo spogląda w oczy. Aż zupełnie jakby nie mógł wytrzymać mojego spojrzenia, raptownie potrząsa głową i odwraca się do swoich ludzi. Unosi wysoko ramiona i naraz padają jego gromko wykrzyczane słowa:

– Powitajcie zatem swoich nowych przyjaciół, kamraci! Oto dziś będziemy świętować, nie zabijać! Zjemy mięso xeratoksa, pieczętując nowy sojusz! Za klan Mroźnej Rzeki! Za jego przyszłego przewodnika! Za mnie i za was, moi kamraci! Ha!

Niebawem wspólnie układamy okazały stos gałęzi i pieczemy udziec xeratoksa na rożnie. Z jednej jego strony zasiadają moi przyjaciele, a z drugiej wojownicy Gronta. On sam nalega, abym zajęła miejsce na skraju swojej grupy i kiedy to czynię, przysiada się do mnie. Okazuje się, że doskonale zna język gestów i wyjawia mi przyczynę, dla której zawitał w te okolice oraz jakie plany wiąże obecnie z moją osobą.

Ponoć jest on jednym z trzech synów starego wodza, który umiera. Aby wyznaczyć następcę, wódz wysłał swoich potomków, z ich zaufanymi wojownikami, na drugi kres Otchłani, żeby się wykazali. To jest zgładzili się nawzajem i po władzę nad klanem powrócił tylko jeden z nich. Gront dumnie oświadcza, że własnoręcznie zabił już swego pierwszego, młodszego brata, ale drugi ciągle mu się wymyka. Zaś zabity przez nas xeratoks był pułapką na Otcha, jego żyjącego, starszego brata. Potwór miał go zwabić do siebie swym wyciem i obietnicą smacznego mięsa, a potem zgładzić lub chociaż zranić. Teraz natomiast bestia za naszą sprawą nie żyje, a Gront składa mi bezpośrednią propozycję:

– Mój starszy brat ufortyfikował się na pobliskim wzgórzu i czeka tam na mnie w nadziei, że sam się wystawię. Ale ja nie mam zamiaru pchać się w pułkę. Ty z kolei, jako kobieta, możesz się do niego zbliżyć. Znam mego brata, on bardzo cierpi, będąc dłuższy czas bez kobiet... Oj cierpi... – Przygląda mi się lubieżnie. – Więc kiedy dopuści cię do siebie, wówczas go zabij. To wszystko, a w zamian poprzysięgam ci na klątwę krwi mego rodu, że doprowadzę waszą grupę całą i zdrową do samego księstwa Razzinal. Postanowione?

Nie zastanawiam się długo nad przedstawioną ofertą. Życie jakiegoś barbarzyńcy z zamian za istnienie moich przyjaciół? Odpowiedź jest oczywista i jednoznaczna zarazem. Jednak czy mogę zaufać Grontowi, że wywiąże się z danej obietnicy? Tego nie wiem, ale tak, chcę zawrzeć ten pakt, widząc jego rozliczne korzyści.

– „Mamy umowę” – gestykuje. Na co Gront szczyrzy się szeroko i klepie mnie mocno po plecach. Następnie odkrawa nożem kawał ociekającego tłuszczem mięsiva z xeratoksa i ofiarowuje mojej osobie.

Na chwilę koncentruje on uwagę na moim tatuażu na udzie. Poważnieje i kręci, jakby z niedowierzaniem głową. Ale zaraz znowu zakwita wyśmienitym nastrojem i gromko zwraca się do swoich kompanów, po czym wszyscy intonują gardłowym głosem jakąś nieznaną mi pieśń. Czynią to niezrozumiałym dla mnie językiem, choć jedno słowo jestem w stanie wyłowić z tej pieśni, a brzmi ono – Anrea.

Po skończonej uczcie powoli zapada już zmierzch. A zanim Gront żegna się z nami, proponuje mi, abym spędziła z nim upojną noc, za którą obiecuje mi obfite dary i wielką rozkosz. Zdecydowanie odmawiam, przez co na chwilę wzbudzam w nim gniew. Jednak na szczęście tylko przez chwilę. Spogląda on jeszcze jakiś czas po kobietach w naszym obozie, aż w końcu stwierdza, że najważniejsze to abym wykonała naszą umowę i uśmierciła jego brata. A wtedy będzie miał kobiety, dziesiątki kobiet. Po tym oświadczeniu odchodzi.

Sprawy wydają się więc przybierać pomyślny obrót. Nadarza się bowiem okazja na pozyskanie silnych sojuszników. Choć jak się szybko okazuje, nikt z grupy nie podziela mego optymizmu. Nawet więcej, moi przyjaciele się ode mnie odsuwają, stroniąc ode mnie. Słyszę z ich ust, że układy z istotami z Otchłani nigdy nie kończą się dobrze i to droga jedynie do jeszcze większych kłopotów. Gdy zaś pytam, co wobec tego powinniśmy teraz zrobić, dowiaduję się, że skoro zawarłam już pakt, to za późno na odwrót. Jednakże jakiegokolwiek złe konsekwencje tego ruchu spadną bezpośrednio na moje barki.

Po zapoznaniu się z opiniami grupy czuję się boleśnie samotna. Tym bardziej że kładę się w pojedynkę koło ogniska. Podczas gdy inni, w tę zimną noc, szukają sobie w pobliżu innego towarzystwa.

Leżąc skurczona, tęsknie wspominam Avesa. I nawet się nie orientuję, kiedy te wspomnienie, jakby wyciąga ze mnie w przestrzeń mego wyzwolonego ducha. Lecz niestety nie może on wyruszyć na poszukiwanie mego ukochanego. Jak głoszą moi kompani, ludzkie dusze po śmierci rozptywiają się w całkowity niebyt bądź w razie skalania grzechem mogą

czasem powrócić, aby odbyć pokutę. Tym ponoć różnią się od wiecznych istot noszących boskie znamiona jak pięciu Bogów Pendrorum, czy mityczna Anrea. Z tego powodu mój duch nie może wybrać się na poszukiwanie zmarłych śmiertelników, a pozostaje w najbliższej okolicy i przechadza się, jakby ukradkiem, podglądając dyskretnie moich przyjaciół.

Na początek natrafiam na Ravela oraz Virię, którzy znajdują sobie ustronne miejsce na piasku w otoczeniu wysokich skał. Są nadzy i kochają się bardzo żywiołowo, zupełnie jakby dzięki szybkim ruchom mięśniowych ciał chcieli się dodatkowo rozgrzać w tę zimną noc. Aż w pewnym momencie kobieta z Favera szepcze namiętnie do mężczyzny:

– Zrób to, do końca, teraz...

– Ale... – Ten na chwilę zastyga w bezruchu. – Napój Harremid, przecież nie zdobędziemy go w tej krainie...

– Nie dbam o to. Pod wodzą Anrei i tak nie wyjdziemy żywi z Otchłani. Więc przynajmniej dajmy sobie tyle przyjemności, ile możemy...

– Masz rację...

– A więc...? Och!

Kiedy obserwowana przeze mnie para, doznaje szczytu rozkoszy, mój duch ulatuje w górę. Lecz po zasłyszanych słowach czyni to niczym z podciętymi skrzydłami i zaraz opada, tym razem do kochających się Exona oraz Kalilli. Ta para spoczywa w jedności w pozycji lotosu i kołysząc się miarowo nad brzegiem strumienia, prowadzi ze sobą szeptem rozmowę.

– To tylko kwestia czasu... – mówi słodko kobieta z Razzinal. – Anrea nie wytrzyma brzemienia odpowiedzialności oraz władzy i zechce scedować ją na kogoś innego. Dlatego musimy ją wspomagać, aby uzależnić ją od siebie.

– A dziś zaciągnęła u nas kolejny dług – zauważa Exon.

– To prawda... Ponadto sama wpakowała się w tarapaty, wchodząc w kłopoty z barbarzyńcami. Tylko więc patrzeć, jak zwróci się do nas o pomoc...

– Tak, ukochana.

– Tak, ukochany. – Kobieta całuje mężczyznę w usta. – A wówczas ty, jako jedyny prawy, będziesz przewodził tej wyprawie.

Exon kiwa twierdząco głową i z pewnym lekceważeniem w zadumie oświadcza:

– Ta niby... Anrea... Wcale nie jest ładna i mało kobieca. Co właściwie Aves w niej widział? Bo jego uczucie było szczere, wiem o tym.

– Co widział? – pyta ironicznie Kalilla. – Otóż coś nowego, swoistą egzotykę, mój kochany. Aves był znudzony i zmęczony życiem, a tu trafił mu się niezwykle kąsek, który potrafił jeszcze rozbudzić jego zmysły i rozniecić w nim pożądanie...

– Pewnie masz rację – przyznaje mężczyzna z Saladior. Na co kobieta z Razzinal całuje go ponownie i potwierdza:

– Oczywiście, że mam rację... Zawsze ją mamy, dlatego to my musimy dowodzić. A ty, jako mężczyzna, przede mną...

Tym razem mój duch wręcz ucieka od kolejnej pary i nie chcę już nic więcej słyszeć, nikogo oglądać. Czuję wielki zawód przeplatający się z pomieszaniem. Lecz w powrocie do mego ciała, napotykam jeszcze Gabu z Adorą. Oni się nie kochają, a jedynie wtuleni w siebie zasiadają na pniaku drewna. Zaś pyzata dziewczyna z królestwa Saladior oznajmia:

– Martwię się...

– Czym takim znowu...? – zapytuje troskliwie Gabu.

– Poparłeś Anreę, aby nami dowodziła. Ale...

– Tak...?

– Czy ona temu podoła...? Czy... nie jest za słaba?

– Anrea nie jest słaba – odpowiada zdecydowanie były kucharz.

– A... nie jest zbyt...

– Jaka...?

– Dzika? Nieprzewidywalna, szalona...? – dopytuje w zamyśleniu Adora.

– Hm... – mruży Gabu i w tym samym tonie dodaje: – Nie znam jej tak dobrze, jakbym chciał. Jest niemową, Bogowie ją przekleli, i przez to trudno ją dogłębnie zrozumieć...

– Ja znam mowę gestów.

- Tak, opowiadałaś, twój brat był... jest niemową. I wiesz co...?
 - Słucham...?
 - Wykorzystajmy twoją umiejętność – podchwytuje Gabu.
 - To znaczy?
 - Anrea nami przewodzi, a to odpowiedzialność, brzemię i nie powinna być z tym sama. Powinniśmy ją wspierać. Słowem, chodźmy z nią porozmawiać...
 - Ale...
 - Co znowu...?
 - Boję się jej... – stwierdza bojaźliwie Adora
 - Czemu...?
 - Wydaje mi się okrutna... Zabiła już tylu ludzi. I ma coś dziwnego w oczach...
 - No tak... – przyznaje nieco zafrasowany Gabu. – Faktycznie jest w niej coś innego – zgadza się i z pewną nadzieją dodaje: – Ale może właśnie to coś jakimś cudem pomoże nam przetrwać w Otchłani. Jak powiedziałem, chodźmy ją odwiedzić.
 - Dobrze, skoro każesz...
 - Proszę...
 - Prosisz, zatem dobrze... – Adora całuje tłuściocha w nalany policzek i razem wstają, by skierować się w moją stronę.
- Zaraz mój duch powraca do ciała i w oczekiwaniu na rychłą wizytę siadam ze skrzyżowanymi nogami. Wpatruję się tępo w skaczące płomienie ogniska, zastanawiając się, kim jest właściwie ktoś taki, jak przyjaciel i czy ja sama takowych posiadam. Ja sama, czyli kto taki?
- Witaj – oświadcza do mnie rezolutnie Gabu i wskazuje Adorze miejsce koło mojej osoby. Ta się ociąga, na co grubas wzrusza bezradnie ramionami. Siada przy mnie, a dziewczynie z Saladior pokazuje, aby zajęła miejsce przy nim. Tak oto oddziela swoim postawnym ciałem mnie od Adory.
- Sama czuję się już na swój sposób zmęczona tym zachowaniem pełnym dystansu. Dlatego bez ogródek gestykuluję do dziewczyny:

– „Mówiłaś, że znasz język gestów. Przekaż Gabu, że chcę poznać historię mitycznej Anrei i to ze szczegółami”.

Adora spogląda na mnie z rezerwą, ale przekazuje moją prośbę do byłego kucharza. Ten patrzy mi w oczy z zadowoleniem.

– Wiesz, że kocham opowiadać, więc wyjawić ci historię mitycznej Anrei, będzie to z mojej strony czysta przyjemność – zapewnia Gabu, zbierając jakby przez moment myśli i zaraz, patrząc w ogień, zaczyna snuć historię o dalekiej przeszłości: – Był to czas... nikt nie wie jak bardzo odległy. Nikt także nie wie, ile czasu upłynęło przed tym wydarzeniem, ani też po nim. Jednak wówczas wielki kontynent Pendorum pozbawiony był fragmentu lądu zwanego Otchłanią. W całości zamieszkiwali go pierwotni mieszkańcy, Allearzy. Natomiast pieczę nad nimi sprawowała Bogini Matka, Anrea, jej mąż Abezzal oraz ich boskie dzieci: córka Harremid, synowie Avenedor, Gragezon, Arezar i Biramond. Życie na kontynencie toczyło się harmonijnie według ustalonych, odwiecznych zasad. Aż pewnego razu mityczna Anrea wybrała się w podróż do innych wymiarów, aby odwiedzić tam różne śmiertelne rasy i nieśmiertelnych Bogów. Kiedy zaś powróciła, nie uczyniła tego sama. Z wyprawy przywiozła ideę uczynienia świata Pendorum lepszym, a mianowicie zapragnęła podporządkować Allearów dziesięciu przykazaniom. Było to dziesięć grzechów, których od tej pory nie wolno było popełniać pod groźbą boskiej kary i gniewu. Kto zaś się sprzeciwił i zgrzeszył, miał powrócić na jedno życie do świata śmiertelników z bolesnym piętnem za swe przewiny. I tak za grzech łakomstwa odradzano się bez ust i zębów oraz żołądkiem tak małym, niczym piątka dziecka. Lubieżnicy powracali bezpłodnymi impotentami. Chciwców trawiła ślepotą, gniewnych ludzi asteniczna budowa ciała, wiotkość mięśni i kruchość ich kości. Ludzie zazdrośni chorowali z powodu chorób gorąca z obrzydliwymi czyrakami na skórze, a istoty grzeszące swym smutkiem trawione były chorobami zimna z wiecznymi drgawkami, jak w malignie. Ludzie pyszni rodzili się karłami. Z kolei osoby zdradzieckie przychodziły ponownie na świat z pomieszaniem zmysłów. Mściwcy rodzili się bez dłoni, a kłamcy, jako niemowy... – Gabu spogląda na mnie z wielką powagą i w tym samym tonie kontynuuje: – Legendy głoszą, że mitycznej Anrei przyświecał wzniosły cel, jednak w efekcie sprowadziła na lud Pendorum wielkie cierpienie, bowiem tamtejsi

mieszkańcy w większości nie byli w stanie wytrwać w absolutnej czystości. A wówczas po ich stronie stanął Bóg Ojciec, Abezzal i swoją mocą sprawił, że klątwa za grzechy spadała tylko na pojedyncze osoby, nie zaś wszystkich, jak do tej pory z mocy Anrei. Jednakże nie był to koniec konfliktu i rozłamu w świecie Bogów, a dopiero początek. Czujący ucisk Allearzy, wyrzekli się Anrei, którą zaczęli postrzegać, jako ciemniejszą i w całości oddali się pod władztwo jej męża. Wtedy Anrea, aby ich ukarać i siłą zmusić do posłuchu, powołała do istnienia Otchłani. Stworzyła dodatkowy ląd oraz zamieszkujące go wojownicze rasy i na ich czele z wielką armią najeżdżała ziemie Allearów. Co więcej, Bogini Matka sama przyjęła fizyczną postać. To samo uczynił jej mąż. Nadchodził czas wielkiej, rozstrzygającej bitwy, ale z nieznanymi powodami Anrea ociągała się z decydującym starciem. Potem się okazało, iż zakochała się w zwykłym śmiertelniku imieniem Zan i oczekiwała narodzin ich dziecka. Do walnej bitwy przystąpiła dopiero po szczęśliwym porodzie. Straszliwe starcie trwało wiele dni i nocy, a wraz z jego końcem naprzeciw siebie stanęli niegdysiejsi małżonkowie, bosczy Anrea oraz Abezzal i nawzajem się pozabijali, zadając sobie śmiertelne rany. Sama bitwa pozostała nierozstrzygnięta. Lecz to ciągle było dopiero preludium do dalszych spektakularnych wydarzeń. Otóż dzieci pary Bogów, która się nawzajem uśmierciła, zamknęły przed rodzicami bramy do nieśmiertelnego wymiaru. Ponadto wezwali oni z dala z krain obcych najeźdźców, aby czcili ich jako nowych, jedynych Bogów oraz ostatecznie pokonali Allearów. Tak narodziły się władztwa: Terraticos, Saladior, Razzinal, Favars oraz Precis. Jednocześnie od tamtej pory zarówno Anrea, jak i Abezzal odradzają się nieustannie na kontynencie Pendorum. Przy czym Abezzal czyni to, aby każdorazowo dokonywać pomsty na małżonce, która sama nie dotrzymała stworzonego przez siebie kodeksu, zdradzając męża i swego czasu okłamując go. Z kolei Anrei wciąż przyświeca cel stworzenia z Pendorum czystego świata, jak również ukaranie Allearów. Jednak pragnie ona także pokoju i zjednoczenia kontynentu i dlatego w kolejnych żywotach zaczęła zwalczać stworzone przez siebie okrutne rasy z Otchłani. Stąd wśród przedstawicieli pięciu władztw Pendorum z jednej strony budzi ona strach, a z drugiej podziw. Jest niewątpliwie istotą kontrowersyjną, ale ze wszelkich miar niezwykłą. Lecz czy na pewno jest, istnieje...? – Gabu zawiesza głos i dobrodusznie się uśmiecha, po czym rezolutnie kończy swoją opowieść: –

Być może cała opowieść o mitycznej Anrei to tylko zmyślona legenda. Nikt tego nie może wiedzieć. Albowiem nikt nie pamięta już czasów, gdy odrodzona Bogini Matka prowadziła wojska ku Allearom, czy komukolwiek innemu. Ale jaki jest tego powód? Niektórzy twierdzą, że ze względu na własne grzechy ciąży na niej złowrogie fatum i odradza się ona jako prosta dziewczyna, by co raz doświadczać pełnego bólu życia śmiertelników. Słowem żyć i umierać pomiędzy nami. Przykładowo jako dziewczka służebna, czy...

– Gladiatrix... – oznajmia nieoczekiwanie Adora i odwraca ode mnie wzrok.



II. BARBARZYŃCA OTCH

Skoro świt budzę się, nie mając nikogo u mego boku. Tak, ponownie sama i chyba powinnam już do tego przywyknąć. Choć może nie całkiem sama – myślę, gdy wstaję wspólnie z poranną mgłą i otulona nią, niczym mglistą suknią udaję się w ustronne miejsce nad brzeg strumienia. Rozbieram się do naga i myję w lodowatej wodzie. Następnie, aby rozgrzać ciało, ćwiczę sekwencję walki wręcz.

Po krótkim, ale intensywnym treningu powracam do tłącego się ledwie ogniska. Zastaję tam szóstkę moich przyjaciół, którzy raczą się odgrzanymi w gorących węglach płatami mięsa xeratoksa. Dołączam do kompanów i w ciszy spożywamy pieczoną strawę.

Wraz z końcem posiłku wskazuję dłonią kierunek przeciwny do spływającego strumienia, gdzie ma się znajdować siedziba brata Grona, człowieka, którego obiecałam zabić. I bynajmniej nie zamierzam złamać danego słowa.

Kłamstwo... – Po drodze w zamyśleniu dotykam swoich ust. Według opowieści Gabu to właśnie ten grzech czyni człowieka w kolejnym wcieleniu niemym. Więc jest to prawda? W poprzednim życiu, czy życiach dopuściłam się haniebnego występku i teraz za niego pokutuję? Jeżeli tak, kogo i dlaczego okłamałam w uprzednim istnieniu? A jeśli... – przechodzi mi przez myśl, że naprawdę mogłabym być mityczną Anreą i mój obecny stan jest podyktowany występkami popełnionym nie wiadomo jak dawno temu wobec mego męża Abezala. Lecz na ten, wydawałoby się, nedorzeczny pomysł wruszam tylko ramionami.

Nie, w jakikolwiek sposób nie czuję się związana z żadną mityczną postacią. Nie czuję tego w sobie ani trochę. Więc kim tak naprawdę jestem? Otóż słyszałam o tym wczorajszej nocy z ust ludzi, których aż do tej pory miałam za oddanych mi przyjaciół. Ponoć jestem szkaradną, nieokrzesaną

dzikuską, także niemową, a więc przekłętą kłamczuchą z widocznym piętnem – niemożnością wypowiedzenia słów. Wreszcie jestem postrachem i nieudolną przywódczynią, która powiedzie wszystkich do zguby. Zaś przede wszystkim dane mi jest być osobą samotną, z którą pewien mężczyzna związał się jedynie dla zabawy i chwilowej odmiany. Tym naprawdę jestem?

Na te smętne myśli kopię zawzięcie leżącą na ziemi bielejącą, ludzką kość, która leci w powietrzu, aż spada do spływającego ze wzgórza strumienia. To niewątpliwie na tym wzniesieniu znajduje się postać, którą mam zabić. Zatem dochodzimy już na miejsce. Skoro tak, to poprawiam w pochwach krótkie ostrza i gotuję się do walki, jedynej rzeczy, którą naprawdę potrafię i zamierzam wykonać ją należycie, jak przystało na gladiatrix.

W końcu poranna mgła się niemal całkiem rozwiewa i po przemierzeniu pewnej odległości pod górę stajemy przed prowizorycznymi zasiekami z zaostrzonych pali, gdzie stoi na czatach kilku barbarzyńców. Zaskoczeni naszą obecnością mierzą do nas z łuków oraz oszczepów. Wtedy podnoszę do góry nieuzbrojone ręce, a zza moich pleców przemawia donośnie Kalilla:

– Nasza przywódczyni, Anrea, ma sprawę do waszego wodza. Pozostaniemy tutaj, ale pozwólcie jej przejść!

Nie mija chwila, a jeden z barbarzyńców znika w pobliskim namiocie z brązowych skór i zaraz powraca. Zauważam, że mężczyzna ten nie posiada ust – przypomina mi się sroga kara za grzech łakomstwa. Czyni on do mnie oczywisty gest dłonią, kierując ją ku sobie, co oznacza zgodę na prośbę Kalilli. Potem wskazuje rękoma na moją broń.

Odkładam cały swój rynsztunek na ziemię i nieuzbrojona swobodnie kroczę do namiotu. Plan jest prosty. Za sprawą umiejętności walki wręcz pokonam przywódcę wrogiej drużyny barbarzyńców, a następnie uzbroję się w jego oręż. Choć zgodnie z sugestiami Gronta dalsza walka będzie zbędna. Mam odciąć głowę tutejszego herszta i zaprezentować ją jego ludziom, a wówczas mają oni złożyć broń.

Wewnątrz namiotu zauważam porozkładany w nieładzie oręż i naczynia na strawę, a na środku porozściełane szare futra nieznanymi mi zwierząt. Na

nich zasiada niemłody już mężczyzna ze srebrnymi włosami wygolonymi po bokach czaszki. Posiada on też niezwykle długą brodę i wąsy, także w kolorze srebra, które częściowo zaplecione są w warkocze. Co zaś najbardziej charakterystyczne na jego czole widnieje wytatuowane jakby oko, od którego odchodzą cztery promienie.

Mężczyzna ten dłuższy czas ogniskuje wzrok na moim tatuażu, aż uśmiecha się dobrodusznie, obdarzając naprawdę szczerym uśmiechem. Sama odruchowo odwzajemniam przyjazny grymas twarzy i nagle czuję się naprawdę dziwnie. Od tak dawna nikt się do mnie nie uśmiechał w tak życzliwy sposób, a teraz czyni to postać, którą mam pozbawić życia.

Następnie mężczyzna, ciągle się nie odzywając, czyni gest, abym usiadła koło niego. Kiedy to czynię, napełnia dwa srebrne puchary bordową cieczą ze skórzanego bukłaka i mnie częstuje. Biorę łyk i czuję, że obdarowana zostaję mocnym winem. Natomiast mężczyzna dopiero teraz się przedstawia, a dalsze wyjaśnienia czyni, gestykulując:

– Zwą mnie Otch, Anreo... „Ale widzę po tobie, iż wiesz, kim jestem”.

– „Widzisz”? – przykładam palce do swoich oczu i kieruję je ku oczom mężczyzny.

– „Tak, widzę”. – Otch pokazuje na swój tatuaż na czole i dodaje: – „Jestem jasnowidzącym i dostrzegłem cię już, zanim przybyłaś w to miejsce. Co więcej, teraz gdy jesteś tu obecna, ujawniane zostaje mi coraz więcej na twój temat”. – Po tych słowach odchyłam puchar od ust i raptem czuję się dość niepewnie. Czyżby mężczyzna przede mną znał cel mego przybycia? Bo jeżeli tak, być może właśnie mnie otruł albo zaraz wkroczą do namiotu jego uzbrojeni ludzie. On jednak tylko swobodnie kontynuuje: – „Nie widzę wszystkiego, ale dostrzegam przed sobą postać niezwykłą, która choć młoda wiekiem ciała, to stara jest duszą. Postać, która choć wiele dokonała, to jeszcze więcej jest przed nią. I choć jeszcze nie odkryłem powodu odwiedzin mej skromnej osoby, to jestem doprawdy zaszczycony tą niespodziewaną wizytą”. – Otch bierze spory łyk ze swego pucharu, po czym szczerząc białe zęby, dolewa mi wina.

W dotychczasowym przekazie mężczyzny nie dostrzegam ani kropli drwiny, a wręcz przeciwnie. Odnoszę wrażenie, że on, chociaż mnie nie zna, to naprawdę darzy mnie pewnym podziwem oraz sympatią. Dlatego

zachęcona piję więcej trunku i z przyjemnością słucham dalszych komplementów. Pięknych słów, którymi me uszy raczone były jedynie za sprawą Avesa. Tak, przez moment czuję się niemal, jak niegdyś z mym ukochanym...

– „Mów dalej” – zachęcam.

– „Jesteś życiem i śmiercią w jednym”. – Pokazuje na me serce, a potem mój złowrogi tatuaż. – „Jesteś zarówno tajemnicą, jak i objawioną już prawdą”. – Spogląda mi w oczy. – „Jesteś jednocześnie ogniem i wodą”. – Dotyka rudych włosów, a opuszkami palców gładzi moje wilgotne od wina usta.

I nagle robi mi się jeszcze bardziej nieswojo, gdy ten mężczyzna zaciąga się moim zapachem, po czym pochyła nisko głowę, niczym w ukłonie i całuje moje odsłonięte uda.

Naraz, jakby otrzeźwiona, rozglądam się po namiocie, bowiem akurat przypominam sobie, po co tu właściwie trafiam. Mój wzrok zatrzymuje się na leżącym na wyciągnięcie ręki toporku i już wiem, że nadarza się idealny moment, aby zabić całującego mnie mężczyznę.

On z wolna przesuwa pieszczące mnie usta w kierunku krocza, zaś ja próbuję dyskretnie dosięgnąć broń. A gdy moja dłoń dotyka drewnianego trzonka, Otch zaciska zęby na mojej przepasce biodrowej.

Zgodnie z daną obietnicą powinnam mu właśnie roztrzaskać czaszkę toporkiem. Ale nie do końca panuję nad sobą. Może to przez wypite wino? Tak, zapewne, a może po prostu tak długo jestem już samotna i zazdrosczę bliskiego towarzystwa innym, że teraz, wbrew sobie czynię zapraszający gest, rozsuwając szerzej nogi. Jednocześnie puszczam toporek i rozwiązuję swoją przepaskę na biodrach. A zaraz kładę się na szarym futrze i z rozkoszy wyginam ciało w łuk, gdy Otch mocniej zagłębia głowę pomiędzy moimi udami.

Jest mi tak bardzo dziwnie, dlaczego ulegam? Nie rozumiem tego. W myślach powtarzam sobie, że to tylko chwila zapomnienia i zaraz zbiorę się w sobie, aby tego mężczyznę bezwzględnie zabić. W efekcie palce mojej dłoni ponownie zaplatają się na rękojeści broni. Ale w tej chwili Otch podciąga się na mnie. Kładzie mi ręce na ramionach i zaczyna się ze mną mocno kochać. Puszczam więc broń, a wtedy mężczyzna zwalnia uchwyt z

mych ramion i zaciska dłonie na moich pośladkach i osłoniętych ubraniem piersiach.

Naraz gwałtownym balansem ciała sprawiam, że zamieniamy się miejscami i siadam na barbarzyńcy. Kołyszę się żywiołowo i równocześnie kładę rękę na gardle mężczyzny, a drugą wiodę ku leżącej nieopodal broni. Lecz Otch sam wykonuje intensywne ruchy biodrami, podrzucając mnie na sobie tak, że nie daję rady pochwycić toporka. A zaraz znowu jest na mnie i przygniata masywnym ciałem.

*

– Nachodzą mnie wątpliwości... – oznajmia w pewnym momencie z troską Gabu, spoglądający razem z innymi do wnętrza namiotu. – Czy Anrea... Czy ona aby na pewno walczy...? Bo odnoszę wrażenie, że raczej... – ucina zdanie wyraźnie skonsternowany.

– Dobrze ci się wydaje – rzuca z pogardą Viria. – Widocznie, zamiast rozplątać przeciwnikowi czaszkę, nasza wielka gladiatrix stawia na kobiecy oręż między swoimi nogami i postanawia zajeździć wroga na śmierć, suka. – Spluwa z pogardą.

– Co za wstyd... – Kalilla załamuje ręce. Zaś Exon kładzie jej rękę na ramionach i razem się odwracają.

– Ja tam chętnie sobie popatrzę i w sumie to bym nawet dołączył... – wtrąca z kolei lubieżnie Ravel i zaraz dostaje od swojej partnerki kuksańca w bok. – No co...? – Uśmiecha się z przekąsem.

*

Będąc na czworakach, chcę rzucić się do miejsca w namiocie, gdzie leży krótki miecz i wreszcie zakończyć te szaleństwo. Ale w obecnej pozycji Otch łapie mnie wpół i znów jest we mnie. Kładzie się na mych plecach i oplata rękę wokół gardła, po czym coraz mocniej posapuje. Nasze zbliżenie trwa już jakiś czas i wiem, co oznacza ten bardziej gardłowy, męski dźwięk. A mimo to i wbrew wszystkiemu nie wzbraniam się przeciw temu, co ze sobą niesie. Poddaje się, naprężając pośladki, by do końca przyjąć w sobie mężczyznę. By choć przez chwilę nie czuć się samotną, a pożądaną, wielbioną i dającą prawdziwą przyjemność.

Otch naraz zastyga w ekstazie i spoczywając na mnie, jęczy z rozkoszy naprawdę długo, sycąc się swym doznaniem. Aż po wszystkim z całych sił odpycha mnie z pogardą. Zanim się zorientuję, chwyta za miecz i przykładami go do gardła, a następnie przemawia:

– Posłużyłaś mi, łatwa suko, za przyjemność. Od dawna tego potrzebowałem. – Silniej przyciska mi ostrze do szyi i dodaje: – A swoim ciałem właśnie wykupiłaś własne życie: – Przesuwa ostrze miecza na moje krocze. – Już wiem, po co tu przybyłaś. Przejrzałem twoje zamiary w chwili, gdy zostawiłem w tobie swe nasienie. Teraz zaś, kimkolwiek tak naprawdę jesteś, wynoś się stąd i nigdy nie wracaj. Inaczej ja, przysły wódz klanu Mroźnej Rzeki, zabiję cię, jeżeli jeszcze raz cię spotkam. Poprzysięgam to na krew mych przodków.

W odpowiedzi w pośpiechu przewiązuję biodra zdjętą przepaską. Szczere zęby w gniewnym grymasie, ale upokorzona zupełnie nie czuję się gotowa do walki i wybiegam z namiotu. Natomiast w progu stoję jak wryta. Dostrzegam bowiem, że wszystko, co rozegrało się akurat za moimi plecami, było doskonale widoczne dla moich znajomych. Dlatego dalej kroczę ku nim powoli, ze wstydem i spuszczoną pokornie głową.

Exon i Kalilla mieli rację – myślę po drodze. Nie nadaję się na przywódczynię, wcale. Przez mój umysł przebiega, że nie nadaję się do niczego, co nie jest prostym zabijaniem na arenie, jak stosownie wytresowanej ku temu gladiatrix.

*

Mija pewien czas. Samotnie idę z wolna przodem, na dobre nie wiedząc nawet gdzie. Za mną kroczą w parach pozostali członkowie grupy. Sama nie jestem w stanie spojrzeć im w oczy ani nawet czynić ku nim przeproszających gestów. I już postanawiam, że kiedy tylko zatrzymamy się na postój, to zrzeknę się przywództwa, jak również prawa wyboru mego następcy. Nikogo nie namaszczę i być może samotnie odejdę w nieznane. Nie wiem tego, obecnie nic nie jest dla mnie jasne.

Na dodatek paskudnie krzywię się na twarzy, gdy spoglądam poniżej swego pasa i uświadamiam sobie, że nie będę mogła uraczyć się napojem Harremid. Jest mi naprawdę wstyd, czuję się źle i to pod każdym względem, a znikąd nie widać ukojenia. Tak, bez wątpienia będę musiała

zapłacić za swoje oczywiste przewiny, bowiem zawodzę. Zawodzę srogo siebie i innych.

Snując takie rozważania, znowu podążam brzegiem strumienia i naraz napotykam przy nim grupę znanych mi barbarzyńców z Grontem na czele. W pierwszej chwili zastygam nieruchomo, ale następnie, pchana poczuciem winy, przygarbiona i z opuszczoną głową, postępuję naprzód.

– Mój brat, Otch! Nie żyje?! – rzuca do mnie z szyderczym uśmiechem na ustach brat mego ostatniego kochanka. Na co staję w miejscu i kręcę przecząco głową. Ani się obejrzę, a na moją twarz spada potężna, męska pięść, która obala mnie na wilgotną glebę. Podźwigam się na kolana i pozostaję w tej pokornej pozycji. W tej chwili mam tak siebie dość, że już wiem, iż nie znajdę w sobie sił, aby walczyć, ponieważ nie mam o co. A wręcz przeciwnie, pragnę przyjąć zasłużoną karę, czym by ona nie była.

Dostrzegam, że Gront wyciąga zza paska toporek. Unosi go i gromko przemawia do moich kompanów:

– Wielkie, wielkie rozczarowanie! Wasza przywódczyni zawiodła, a zatem ta niema suka należy teraz do mnie, nie do was. Jeżeli zaś twierdzicie inaczej, to będziecie musieli o nią zawalczyć! – Przez dłuższy czas zza moich pleców nikt się nie odzywa i nagle otrzymuję potężny cios metalem w głowę. Padam twarzą w błoto i zaraz, szarpiąc mnie za włosy, ktoś znowu ustawia mnie na klęczkach. Od zawrotów głowy ledwo dają radę utrzymać się w tej pozycji, a krew z rozciętego czoła zalewa mi twarz i ponownie słyszę nade mną złowrogie wołanie Gronta: – Słuszna decyzja, wy, bando żalosnych słabeuszy! Zatem zabierajcie się stąd albo będziecie kolejnymi, którym z rozkoszą zdejmę skalp, a za zdradę i kłamstwo obetnę jeszcze ręce i język, by pozostałe truchło spalić żywcem!

Spoglądam przez ramię i przez zamazany obraz oglądam plecy odchodzących moich dotychczasowych kompanów. Przenoszę wzrok do góry i ostatnim, co widzę jest szyderczy uśmiech Gronta, jak również zakrwawiony topór w jego dłoni, który z zawrotną prędkością szybuje wprost na moją skroń.



III. DRUŻYNA

Po opuszczeniu Anrei trzy pary osób w milczeniu kierują się na północ. Im dalej idą, tym odległości między nimi się powiększają. Aż w końcu krocący przodem Exon z Kalillą przystają i czekają na resztę grupy. Kiedy sześć postaci przybyłych z Terraticos zatrzymuje się w kręgu, Exon władczo przemawia:

– Anrea zginęła. Poległa z woli Bogów i za własne przewiny. Ta dziewczyna to już przeszłość. Jednak my wciąż żyjemy. I teraz zapytuję: czy będziemy potrafili wytrwać w jedności, aby zwiększyć nasze szanse przetrwania, czy też pozbawimy się tej możliwości i każda z naszych par uda się w swoją stronę?

– A która strona jest twoją oraz Kalilli? – rzuca wyzywająco Ravel. Na co kobieta z księstwa Razzinal spokojnie odpowiada:

– Postanowiliśmy iść nieprzerwanie na północ aż do mojej ojczyzny.

– To się fatalnie składa – oznajmia drwiąco Viria. – Bo my właśnie zawracamy.

– Zawracacie...? – wtrąca zaskoczony Gabu.

– Ano tak! – potwierdza gromko kobieta z Favers. – Razem z Ravelem znamy się na żegludze i zgadnijcie, jaki też mamy perfidny plan, hm?!

– Umieram z ciekawości... – Kalilla wywraca oczy do góry. Zaś odpowiedzi udziela mężczyzna z chanatu Precis:

– Zostaniemy piratami! Wracamy po statek! – krzyczy radośnie i ze śmiechem na ustach szturcha swoją partnerkę, a zaraz zaczynają się razem przepychać.

– Jak dzieci... – kwituje ich zachowanie z dezaprobatą Exon i zwraca się posepnie do Gabu. – A ty? Do kogo się przyłączysz?

– Nie wiem... – stwierdza niepewnie grubas, spoglądając zafrapowany na Adorę. – Jeszcze tego razem nie ustaliliśmy...

– Obawiam się, że nie macie już na to zbyt wiele czasu – zauważa Kalilla. – Bo najwyraźniej tutaj drogi niektórych z nas się rozchodzą. – Kobieta wykonuje obszerny ruch ręką, zakreślając nią tutejszą polanę otoczoną lasem. I naraz jej dłoń zastyga w górze, po czym błyskawicznie uzbraja się we włócznie. – Uwaga! – krzyczy i staje w postawie bojowej.

Jak na komendę broń dobywają też inni, wszak poza zdezorientowanymi Gabu oraz Adorą. Następnie wszystkim obecnym ukazują się wyłaniające z lasu liczne, ciemne sylwetki. Jest ich całe mrowie, niskich i wątych, ubranych w ciemny brąz postaci. Nieliczne trzymają w rękach lekkie kusze, a pozostałe kiepskiej jakości włócznie.

– Viria! – krzyczy raptem Ravel. – Stań z osłoną naprzeciw bełtów!

Kobieta idzie za tym wskazaniem. Wyskakuje przed pozostałych z tarczą zwróconą do przodu i niemal w tej samej chwili w jej osłonę wbija się kilka wystrzelonych pocisków.

– Skróćmy dystans! – drze z kolei gardło Exon. Wyjmuje z pochwy miecz i szarżuje na przeciwników, a w sukurs idzie mu Kalilla. Natomiast Gabu zastyga zszokowany w bezruchu z potężną halabardą w dłoniach, a Adora ładuje własną kuszę. W tym czasie do przodu rusza także Viria, lecz zostaje zastopowana dłonią Ravela na swoim ramieniu. Ten wskazuje wymownie partnerce przeciwległy koniec polany, sugerując ucieczkę. Kobieta z Favere waha się, ale zaraz biegnie w te pędy z mężczyzną z Precis prosto do lasu.

– Co robimy...? – pyta nerwowo Gabu, spoglądając na uciekinierów, to walczących już Exona oraz Kalillę. Adora, zamiast odpowiedzieć, oddaje pierwszy strzał w grupę wrogów. Jednak wyraźnie chybia, a wtedy górna warga zaczyna jej szybko drgać i zwraca się jękliwie głosem do Gabu:

– Zza... zzabierz nas stąd...

Nie mija chwila, a wspólnie uciekają z pola bitwy w ślad za dotychczasowymi uciekinierami.

*

Exon rozcina włócznie jednego po drugim. Wydają się oni niemal niezdolni do skutecznej walki i zadają mu tylko powierzchowne rany drzewcową bronią. Podobnie łatwo radzi sobie Kalilla, zręcznie wyłuskując z tłumy wrogich kuszników, stanowiących jedyne realne zagrożenie i co raz przeszywa ich grotem włócznie.

Trup ściele się gęsto, jednak przeciwników, zamiast ubywać, to jeszcze przybywa i naraz walcząca para się orientuje, iż jest już w okrążeniu. Mimo to żadne z dwójki walczących nie traci ducha walki i cały czas skutecznie eliminują wrogów.

Aż w pewnym momencie z miejsca skąd wcześniej wychynęły uzbrojone we włócznie i kusze pokurcza, dochodzi niezwykle niski dźwięk rogów. I nagle na polanę wbiegają dziesiątki konnych amazonek uzbrojonych w oszczepy i długie miecze, po czym rzucają się na przeciwników osaczonej na polanie pary. Wywiązuje się chaotyczna walka, gdzie armia karłów kładziona jest pokotem na ziemię. Lecz kolejni z ich licznych przedstawicieli, wręcz niezliczeni, wychodzą z różnych części lasu i zajmują miejsca poległych.

W powstałym chaosie Exon traci z oczu Kalillę i ze zmęczenia z coraz większym trudem wznosi dwuręczny miecz, który krzyżuje również z amazonkami. Aż w końcu wokół siebie widzi już tylko uzbrojone, wrogie kobiety, wydające z siebie potępieńcze, wysokie brzmieniem piski i konno obiegające go wokół.

Podąża za nimi wzrokiem, okręcając się wokół własnej osi, aż doznaje zawrotów głowy i oszołomiony pada na glebę. Wtedy amazonki, jak jedna postać wstrzymują rumaki i zsiadają z ich grzbietów. Zgodnie kroczą ku Exonowi, zacieśniając wokół niego krąg. Chowają broń i wyciągają ku niemu długie ręce, powtarzając chóralnie piskliwym głosem:

– Nie walcz z nami, kochaj się z nami... Daj nam siebie i my damy ci siebie... I nie walcz z nami, kochaj się z nami, kochaj...

Oszołomiony, wycieńczony walką Exon, nie widząc dla siebie szansy, wypuszcza z ręki dwuręczny miecz. A zewsząd obłapiają go dziesiątki kobiecych dłoni, które namiętnie wodzą po jego muskularnym ciele, rozbierają go i ściągają wprost na plecy na wilgotną ziemię.

Uciekinierzy z pola walki w końcu zwalniają biegu, gdy z gęstego lasu udaje im się przedrzeć na kolejną polanę tym razem usytuowaną nad brzegiem sporej rzeki. Dysząc głośno, co raz puszczają do siebie pół uśmiechy i krzepiąco poklepują po plecach. Wreszcie Ravel oznajmia:

– Dobra robota, pozbyliśmy się tej nadętej pary naszych niby przyjaciół.

– Co racja, to racja – zgadza się Viria. – Nadęty, rycerski bufon i jego wymuskała, złotowłosa arystokratka... – Spluwa z pogardą na ziemię. – Dostali sowitą nagrodę za swoją dumę – dodaje kobieta z Favere, a naraz przystaje i spoglądając do tyłu, zapytuje:

– A co z Gabu i tą jego... jak jej tam było...?

– Aurora?

– Chyba tak. – Viria macha niedbale ręką. – Biegli za nami, nie widzieliś?

– Zapomniałem o nich – przyznaje rezolutnie Ravel.

– No tak... – mruczy zrezygnowana Viria i zaraz z ożywieniem dorzuca:

– Za to tutaj widzę coś nader interesującego: – Lustruje pobliski brzeg rzeki, gdzie zacumowana jest tratwa, na której siedzi ociekający krwią półnagi starzec.

– Chodźmy tam – podchwytuje z energią w głosie Ravel i wkrótce stoją razem naprzeciw podejrzanego starca. Ma długie siwe włosy, wąsy i brodę, które zgodnie są na nim skołtunione. Część jego ran, w większości powierzchownych, wydaje się zadanych szponami. Inne przywodzą na myśl ślady po zębach w tym ludzkich. Z kolei sam starzec, jakby nie do końca zachowywał jasność umysłu, kiwa się osowiały na boki z zamglonym wzrokiem. Gdy wtem Viria wyrywa go z letargu, zabierając mu z dłoni złoty puchar.

– To moje, moje! – drze się opętańczo zakrwawiony mężczyzna, wyciągając przed siebie wątlę rękę.

– Skąd to masz? – posykuje do niego kobieta z Favere i pucharem uderza go w twarz.

– Moje! – krzyczy tylko, pochylając się coraz bardziej ku złotemu naczyniu. Aż kładzie się niemal brzuchem na pokładzie tratwy i uwidacznia na plecach kolisty wzór tatuażu obrazujący jakby mapę.

– Nie ruszaj się! – warczy do niego Ravel i podskakuje do tajemniczego malunku na plecach. Dłuższy czas analizuje go wzrokiem, po czym z niedowierzaniem zapytuje: – Czy to aby nie jest mapa skarbu? Odlazłeś skarb...?

– Moje... – jęczy ciągle, jak w zaklętym transie strzec. Gdy raptem, Viria przejeżdża mu sztyletem po gardle. Daje się słyszeć charczący bulgot i zaraz starszy mężczyzna wiotczeje. Ośłupiały Ravel spogląda pytająco na partnerkę. Ta zaś uśmiecha się sprytnie i odkłada złoty puchar, by następnie wycinać nożem płat skóry z tatuażem z pleców starca.

– Jesteś nienormalna, doprawdy szalona... – mówi z podziwem mężczyzna z chanatu Precis i z pasją dodaje: – I właśnie za to cię ubóstwiam! Skarb! Znajdziemy skarb! Najprawdziwszy skarb! I powrócimy do serca Pendorum bogaci!

– Właśnie... – kwituje Viria, starannie odcinając od ciała nieco pomarszczoną skórę, tak, aby nie uszkodzić tej ostatniej. – Będziemy bogaci... – powtarza, zaciskając zęby w szyderczym uśmiechu i dalej sprawnie operuje nożem, a widać, że ma w tej czynności nie lada wprawę.

Natomiast już wkrótce, zgodnie z wizerunkiem na mapie, para przybyszy zza morza rozpoczyna uciążliwą podróż tratwą w górę rzeki. Wspólnie odpychają się żerdziami od dna, szukając miejsc, gdzie nurt nie jest zbyt bystry.

Aż naraz niespodziewanie się orientują, że ich wodny środek transportu zaczyna przemieszczać się z niezwykłą łatwością. Spoglądają po sobie zaskoczeni i nagle dociera do nich, iż niewyjaśnionym cudem nie płyną już w górę rzeki, a coraz szybciej podążają z jej wartkim prądem. Do tego nie mija chwila, a przed sobą słyszą głuchy huk spadającej wody, najwyraźniej wodospadu.

Wobec takich okoliczności Ravel pokazuje partnerce najbliższy brzeg i z trudem przekrzykuje odgłos coraz bardziej wzburzonej wody.

– Płyniemy wpław do plaży! Prąd jest tu zbyt silny! Nie doholujemy tratwy w bezpieczne miejsce przed wodospadem!

Kobieta z konfederacji Favere kiwa na zgodę głową i czyni krok w stronę Ravela. Lecz raptem drewniana belka pod jej stopą pęka i kobieca noga wpada w powstałą wnękę.

– Viria! – krzyczy na to przerażony Ravel i podaje partnerce dłoń. Kobieta odpowiada wyciągnięciem własnej ręki i mocno zaplata swoje palce na męskich. Stara się wydostać z matni, ale czyni to bezskutecznie.

– Utknęłam! – drze się rozpaczliwie, spoglądając z narastającą trwogą na zarysowujący się coraz wyraźniej w pobliżu wodospad.

– Viria! – krzyczy na to roztrzęsiony Ravel. Raz jeszcze szarpie z całych sił kobiecą dłoń, po czym puszcza ją i z bólem, zamierającym głosem powtarza: – Viria...

– Nie zostawiaj mnie! – wrzeszczy wręcz opętańczo kobieta, widząc, co zamierza jej partner. Jednak ten czyni krok do tyłu. Całuje swoje dwa palce i w geście oddania unosi je zwrócone ku kobiecie. Potem daje susa do spienionej wody, a odprowadza go pełen przerażenia kobiecy krzyk:

– Nie, nie, nie! Nie zostawiaj mnie! Nie możesz! Nie!

*

Gabu z Adorą oddalają się od bitewnego zgiełku dochodzącego z polany i brną przez gęsty, ciemny las. W końcu uświadamiają sobie, że się zgubili. Początkowo idą, trzymając się wspólnie za ręce. Jednak z czasem ich uścisk ulega rozluźnieniu, aż całkiem rozplatają swe palce.

Dziewczyna z Saladior nie odzywa się ani słowem i coraz mocniej drga jej górna warga. Z kolei Gabu niemal nieprzerwanie przemawia. Najpierw do Adory, śląc jej słowa pociechy. Potem zaś, jakby bardziej do samego siebie, wydawałoby się, szukając w długim monologu sposobu na wyjście z matni.

– Pomyślmy, myślmy dalej... – zagrzewa się do intensywnego wysiłku intelektualnego tłuścioch. – Z polany uciekliśmy na północ, tak, niewątpliwie. Teraz natomiast... Niech spojrzę na mech obrastający kamienie. Tak, mech rośnie zdecydowanie od strony północnej, dobrze. Hm... ale znam tylko zielony mech... Ten zaś jest brunatny, a tu i ówdzie nawet prawie czarny. Czy kolor mchu może mieć wpływ na miejsce porostanie go na kamieniach? A jeżeli tak to... Hm... może niech lepiej popatrzę na ułożenie liści na drzewach... Nie, w tym przypadku raczej kolców... Tu nie ma liści, są kolce, zdecydowanie. Pomyślmy, myślmy dalej... Czy sposób, w jaki kolce porastają gałęzie drzew, może nam coś powiedzieć o kierunkach świata? Kierunki świata... Po co właściwie

musimy je konkretyzować...? – Ostatnie zapytanie Gabu kieruje już do Adory i nagle staje jak wryty, orientując się, że w jego pobliżu nie ma pyzatej dziewczyny. Wystraszony wykonuje szybki piruet wokół własnej osi, do tego stopnia niezdarny, że traci równowagę i pada wielkim tyłkiem na miękkie podłoże, wilgotną ściółkę. W tej pozycji składa razem dłonie przy twarzy i jak przez tubę w niebogłoso krzyczy:

– Adora! Adora! – Odpowiada mu tylko echo. – A skoro tak, to ponawia rozpaczliwe wołanie: – Adora! Adora!

I naraz otrzymuje odpowiedź złowrogim, demonicznym głosem, od którego aż cierpnie skóra i jeżą się włosy:

– Gaaabu...! Gaaabu...!

Na ten odzew przerażony grubas nagle milknie, połykając niemal własny język ze strachu. Zaś wszędzie wokół naraz szeleszczą i skrzypią gałęzie. Natomiast demoniczny głos pojawia się ponownie, tylko o wiele bliżej:

– Gaaabu...! Gaaa... buuu...!



IV. STARUCHA

Ponownie spoglądam oczyma na wielki świat. Choć nie jestem pewna czy ja, to wciąż naprawdę ja, czyli właściwie kto?

Zdejmuję przykrywające mnie grube, szare futro i siadam naga na brunatnej, wytartej skórze. Odczuwam zawroty głowy, a w niej samej dotkliwy ból. Chwytam się za skronie i opuszkami palców trafiam na materiał okalający sklepienie mej czaszki niczym turban. Następnie przenoszę wzrok na ramiona i tułów naznaczone licznymi, podłużnymi strupami. Wyglądają one jak ślady po szponach. Aż wreszcie rozglądam się po miejscu, w którym obecnie przebywam.

To obszerna grotka pełna różnorodnego sprzętu. Dostrzegam liczne miski oraz moździerz do rozcierania i rozdrabniania większych substancji. Na poprzeciąganych w górze sznurach wiszą suszone liście, a gdzieś tam zauważam sterty minerałów ułożonych w niewielkie piramidy. Całe to miejsce przywodzi na myśl siedzibę jakiegoś znachora. Choć jak się zaraz okazuje, raczej znachorki.

W rogu jaskini zauważam ruch i zwracam się w tę stronę. Oto niezdarnie sunie ku mnie starucha w skołtunionych, siwych włosach zaczesanych w niedbały kok. Garbi się tak, iż wydaje się wręcz złamana w pół i podpira sękatą laską. Ubranie ma brunatne, trochę szare i pełne dziur, przez które prześwituje czarny, spodni materiał z postrzępionych nici.

Starucha siada ciężko przede mną, wydając głośnie sapnięcie, po czym wskazuje laską na miskę koło mnie. Jest tam zabarwiona na różowo ciecz.

– Pij, he, he... – śmieje się skrzypiącym głosem, rozwierając pomarszczone usta, gdzie dostrzegam raptem dwa poczerńiałe zęby. – Pij, he, he... – zachęca.

Ostrożnie biorę napój do ust i odkrywając znajomy smak, zaskoczona gestykułuję:

– „To napój Harremid”.

– O tak! – Starucha robi wielkie oczy, z których jedno zasnutę jest bielmem. – O tak! Ha, ha... – skrzypi. – Potrzebujesz go.

– „Skąd wiesz”? – Przypominam sobie z niechęcią o męskim nasieniu, które zostawił we mnie Otch.

– Wiem, wiem, ha, ha... – Stara kobieta pokazuje mi otwarte dłonie. Na ich wnętrzach widnieją takie same tatuaże jak u Otcha, przedstawiające promieniste oczy.

– „Jesteś jasnowidząca” – stwierdzam.

– Jasno i ciemno, hi, hi... – Miałaś w ostatnim czasie dwóch mężczyzn, braci, których bynajmniej nie darzysz miłością. To właśnie widzę. Ech, młodzi, he, he...

– „Dwóch”? – pytam nieprzyjemnie zaskoczona i spoglądam na swoje krocze. Zastanawiam się, co nastąpiło po tym, jak otrzymałam cios w głowę od Gronta, odbierający mi przytomność i teraz już chyba wiem. Patrę z pewnym niesmakiem na siebie, potem staruchę, a ona tajemniczo dodaje: – Miałaś w sobie dwóch mężczyzn, o tak... Ale na sobie jednego ptaka, który cię uniósł. O tak, to był ptak, ha, ha...

– „Nie rozumiem, jakiego ptaka”?

W odpowiedzi starucha pokazuje laską na moje podłużne, zasklepione rany na ciele, a zaraz na wylot z jaskini. Dopijam więc napój Harremid i udaję się we wskazanym kierunku. Staję w progu groty i nagle me nagie ciało bierze w swe objęcia lodowaty chłód. Zaskoczona orientuję się, że przebywam gdzieś w pasmach bardzo wysokich, zaśnieżonych gór. Spoglądam wyżej i dostrzegam, że szczyty ponad moją głowę giną daleko w szarych obłokach, a pode mną rozciąga się bezdenne przepaść.

Powracam oszołomiona do staruchy, a ona ponownie skrzypi, zanosząc się śmiechem:

– Ptak, przyniósł cię tu wielki ptak, ha, ha... Być może nawet sam boski Biramond, hi, hi...

– „Biramond”.

– Otóż to. W końcu znajdujemy się na Górze Bogów! – stwierdza starucha, a ja chwytam się za coraz mocniej bolącą mnie głowę i kręcę nią z

niedowierzaniem, starucha zaś kontynuuje: – Tak, tak, to Góra Bogów, na której wiecznie uczują wszystkie boski dzieci mitycznej Anrei, ha, ha... Wielcy Bogowie, o tak...

Siadam na swoim dawnym miejscu, powoli oswajając się z tym, co mnie najwyraźniej spotyka. Czyli jakimś cudem unikam śmierci, ale też pozostaję zupełnie samotna tylko w otoczeniu podejrzanego starucha, a do tego trafiam do mroźnej części nieznanego mi kraju. Próbuję odnaleźć się w nowej sytuacji i zastanowić, co dalej. A cały czas towarzyszy mi skrzypliwym, podśmiechującym się głosem starej kobieciny:

– Ha, ha... Witaj o płomienne dziewczę w gościnie, he, he... Piegowate dziewczę, hi, hi, które zsyła mi wielki ptak, o tak. Lecz jak cię zwa, jak zwa...? Zaraz, zaraz... – Wpatruje się w swoje tatuaże na dłoniach. – Anrea, czyżby Anrea...?

– „Tak, to moje obecne imię” – potwierdzam.

– Ooo, ha, ha... Jeszcze jedna Anrea, hi, hi... – Starucha klepie się ucieszenie pomarszczonymi dłońmi w opatulone uda.

– „Jeszcze jedna”? – pytam trochę zdezorientowana.

– O tak, tak, he, he... – Śmieje się starucha i pokazuje na siebie. – Niegdyś też nosiłam to imię i nie tylko imię, hi, hi... – Podciąga suknię na udzie, gdzie widnieje rozciągnięty na skórze tatuaż przedstawiający dziewczęć czaszek. – Zastygam doprawdy zaskoczona, a stara kobieta, tym razem spoglądając daleko za wylot jaskini, mówi dalej: – Jest nas tu wiele, naprawdę wiele, Anrei, starych i trochę młodszych. Tych, które już całkiem postradały rozum i nieco bardziej przytomnych, ha, ha...

– „O czym ty mówisz”?

– Właściwie to o niczym, hi, hi – piszczy starucha. – Może jedynie o tym, że Anrei ci w Otchłani dostatek, he, he...

– To popularne imię? – zapytuję naiwnie. Na co moja rozmówczyni klepie mnie laska po ramieniu i szydzi:

– Oj głupiaś ty głupia, ha, ha... Zresztą jak każda Anrea. Mityczna Anrea... – poprawia się z drwiną, wybałuszając oczy i wyjaśnia: – Któraż z dumnych kobiet nie pragnie być Boginią, tą jedyną, aha...? A jak prościej uczynić takie pozory, niż nadając sobie boskie imię? Hi, hi... Oj głupiaś...

– „Nie twierdzą, że jestem jedyną Anreą” – gestykuluję spokojnie.

– Ja zaś nie twierdzą, że jesteś ani też, iż nie jesteś. Czy ty w ogóle jesteś? Ha, ha... Ale gdybyś chciała się przekonać, to odpowiedź znajdziesz na szczycie Góry Bogów. To tam rezydują boskie dzieci, które zatrzasnęły wrota nieba przed swoją matką, skazując ją na życie wśród śmiertelników, hi, hi... O ironio losu... – mówi starucha i kieruje się z mozołem do wylotu jaskini. Staje w progu i zwracając się jakby do samych niebios, tym razem dumnie przemawia: – Mityczna Anrea może wszystko naprawić. Lecz najpierw musi odpokutować za własne przewiny i sama wykazać się istotą bez skazy. Musi ona przeżyć śmiertelne życie bez piętna grzechu. A wówczas wrota boskości ponownie zostaną przed nią otwarte na oścież. Na ten czas będzie mogła naprawić wszystko, co zniszczyła. Przede wszystkim zaś zapanować nad swymi dziećmi, które stały się niegodziwcami. Istotami, które są obecną prawdziwą plagą Pendorum, albowiem zagustowały w krwawej walce i składanych na swoją cześć ofiarach. – Starucha robi pauzę, po czym powraca do swego prześmiewczego tonu: – Boska Anrea stworzyła kodeks, którego sama nie jest w stanie przestrzegać, ha, ha... I w każdym swoim śmiertelnym życiu popełni ciężki grzech, który odznacza się piętnem na jej kolejnym istnieniu. To jej prawdziwe przekleństwo, przekleństwo, przekleństwo, tak, ha, ha... I nie ma od tego ucieczki nawet w śmierć, hi, hi... – Po tych słowach stara kobieta spogląda na mnie z ukosa, rozpościera ramiona i niespodziewanie rzuca się prosto z urwiska. Zaś spadając, donośnie krzyczy: – Jesteś kim byłam, a będziesz kim jestem, taki nam przepowiedziany los, ha, haaa...

Wstrząśnięta biegnę do miejsca, gdzie dopiero co stała ta dziwna postać i wyglądam za nią w dół. Ale jej nie dostrzegam. Nie widzę tam niczego poza bezdenną przepaścią oraz gładkimi ścianami ze śniegu i lodu.

*

Po niepokojącej rozmowie z tajemniczą staruchą i jej konsekwencjach zaiste tragicznych w skutkach powracam do swego legowiska. Nakrywam się ciepłymi futrami i spędzam tak wiele czasu, głównie śpiąc. Staram się jak najwięcej wypoczywać, a jak najmniej myśleć. Bowiem mój umysł nie jest klarowny. Wciąż dobijają się do niego pytania o mój prawdziwy związek z mityczną Anreą. Te pełne drażniącej niewiedzy zapytania przeplatane są ze wspomnieniami moich kompanów, którzy w chwili próby

odwrócili się do mnie plecami. Gdzieś we mnie pobrzmiewają też inne odczucia, w tym wspomnienia miłości mojej i Avesa oraz pojawiają się bolesne myśli o gwałtach dokonanych na mej osobie.

To wszystko tworzy razem w moim umyśle swoistą mieszankę, z której w końcu wyłania się klarowny wniosek. Zwykły świat śmiertelników mnie zawodzi i dziwnym zrzędzeniem losu obecnie pozostawiam go tam, daleko za sobą, na dole. A skoro tak, to pragnę się przekonać, co oferuje boskość, jakie niesie odczucia i prawdy, jeżeli w ogóle takowe istnieją i choć cząstka boskości jest w moim zasięgu. Dlatego podejmuję decyzję o wyprawie po prawdę o sobie i świecie na sam szczyt Góry Bogów.

Przywdziewam moje tradycyjne ubranie gladiatrix, chustę na głowę, a dodatkowo opatulam się szczelnie skórą i grubym, szarym futrem. Znajduję także ciepłe rękawice. Moja broń na szczęście cały czas jest tu ze mną. Niestety w grocie nie odnajduję prawie żadnego prowiantu. Przez to opuszczam jaskinię zaopatrzona tylko w garść suszonych jagód, żołądki i orzechów. Pocieszam się jednak, że po drodze zdołam upolować jakąś zwierzyńkę.

I tak rozpoczyna się moja wspinaczka. Nienawykła do lodowych powierzchni początkowo ślizgam się niezdarnie i boleśnie przewracam, przeklinając w duchu gładkie podeszwy mych butów. Jednakże się nie poddaję, nawet nie mam takiego zamiaru. A kiedy tylko ogarnia mnie cień zwątpienia, spoglądam z pogardą w dół, zaś patrząc w górę, czynię to z nieskrywaną nadzieją. I to wystarcza, aby moja determinacja odkrycia czegoś nowego, wartościowego, pchała mnie nieustannie naprzód.

Zimne noce spędzam w wykopanych przez siebie śnieżnych jamach. Dają one osłonę przed przenikliwym, lodowatym wichrem. Gdy ten przybiera mocno na sile, przebywam w moich kryjówkach nawet całe dni. Mój prowiant szybko się kończy i zaczynam cierpieć dotkliwy głód, który jeszcze potęguje doświadczane odczucie zimna. Wzmaga je także ssany przeze mnie lód – coś muszę przecież pić. Muszę... – powtarzam to sobie i jak w hipnotycznym transie pnę się wciąż w górę.

Aż pewnego razu, gdy dzień jest tylko lekko zachmurzony, a wiatr przestaje smagać mnie lodowatymi podmuchami, odnoszę wrażenie, że tu, w tych niedostępnych górach, dochodzą mnie odgłosy zażartej walki.

Ślizgam się w tym kierunku nieco po skosie oraz na dół i naraz przedstawia mi się zaskakujący widok.

Oto na śmierć i życie zmagają się ze sobą dwie pokryte gęstym futrem istoty. Jedna z nich przywodzi na myśl białego tygrysa z zębami niczym szable. Druga zaś przypomina pokrytego własnym futrem potężnego człowieka. Sama nie zastanawiam się, tylko reaguję, a mianowicie ruszam człekokształtnej istocie na odsiecz.

Wyjmuję z pochew lodowate miecze i ślizgiem zjeżdżam wprost na parę walczących. Tuż przed nimi nie jestem w stanie wyhamować, dlatego skacząc do góry i spadam na grzbiet wielkiego kota. Siedząc na nim, zadaję mu liczne ciosy ostrzami, a ten rzuca się jak w amoku.

I zaraz rzuca mnie z siebie potężnym wierzgnięciem. Padam na plecy prosto w zaspę śniegu, a mój przeciwnik rozpoczyna szarżę wprost na mnie. Wybija się w przestrzeń długim susem, lecz w locie łapie go człekokształtna istota. Kotłują się razem po śniegu, warcząc i wydobywając z gardeł złowrogi jazgot.

Skaczę na równe nogi i także biegnę, by walczyć. Moimi mieczami, niczym przedłużeniem mych rąk, zadaję zamaszyste ciosy w okolice karku bestii. Aż ta ponownie rzuca się na mnie. Otrzymuję obezwładniające uderzenie łapą w piersi, po czym lecę w powietrzu i znowu trafiam w zaspę śniegu.

Dłuższy czas zajmuje mi wygrzebanie się na zewnątrz. Gdy to czynię, dostrzegam, że wielki biały kot, a teraz upstrzony również czerwonymi plamami krwi, jest już martwy. Tuż przy nim klęczy zwycięska istota i obszernymi ruchami rąk rozrywa brzuch wroga, by wywlekać z niego krwawe wnętrzności. Te zaraz giną w paszczy, której zęby przypominają ludzkie. Również i oczy, które mnie podejrzliwie obserwują, wydają się mieć coś z człowieczych.

Ostrożnie podchodzę z drugiej strony do martwego kota, bowiem na widok ciepłego mięsa i krwi czuję nagle niepohamowany, iście zwierzęcy głód, którego nie jestem w stanie powstrzymać. Istota przede mną czyni kilka gniewnych grymasów twarzy i wymachów owłosionymi łapami, ale nie tak łatwo jest mnie przegonić. Zbyt silne czuję łaknienie i po prostu muszę zaryzykować.

Rozwieram paszczę martwego zwierzęcia i wycinam mu ostrzem język. Z gardzieli tryska obficie krew, którą chwytam w złączone razem dłonie i łapczywie piję. Następnie, po ugaszeniu pragnienia, kroję jęzor na mniejsze części i zaczynam intensywnie żuć, po czym z uczuciem ulgi połykam.

Nie chcę twardych tkanek, mięśni czy ścięgien, poszukuję tych delikatniejszych, łatwiej strawnych, które dadzą mi siłę. Niestety przy miękkich wnętrznościach wciąż jest ta człekokształtna istota, która nieustannie czyni ku mnie ostrzegawcze gesty. Dlatego, gnana łaknieniem, wyłupiam ostrzem kocurowi oczy. Rozgryzam je i połykam. Potem rozcinam gardło w poszukiwaniu większej ilości ciepłej krwi.

Aż niespodziewanie wyciągnięta zostaje ku mnie futrzana, prawie ludzka dłoń z pięcioma palcami, w której trzymana jest część rozerwanej wątroby. Ostrożnie ujmuję krwisty płat i zaraz odwdzięczam się, kierując przed siebie złączone ręce z ciepłą krwią z rozciętego gardła kocura. Człekokształtna istota patrzy na mnie z rezerwą, ale ustawia pysk pod moimi rękoma i rozwiera usta, a ja rozsuwam dłonie, z których spływa obficie krew.

W dalszej części uczty, ja oraz mój nowy kompan, coraz bardziej przekonujemy się do siebie nawzajem i podejmujemy współpracę przy szlachtowaniu upolowanego zwierzęcia. Człekokształtna istota wykonuje do mnie proste gesty i wydaje sugestywne chrząknięcia. Ja sama poprzestaję na gestach.

Po niezwykle obfitym posiłku zauważam, że zbliża się już noc, dlatego z nowym napływem sił biorę się za wykopywanie śnieżnej jamy. Nieoczekiwanie i tu z pomocą przychodzi mi śnieżna istota, której wielkie dłonie odgarniają śnieg niczym szufle. Tym sposobem szybko tworzymy kryjówkę i aby dać sobie więcej ciepła, przytulmy się razem i leżąc, powoli zasypiamy.

Rano budzę się sama i mocno zmarznięta. Rozcieram skostniałe ciało i wyczołguję się z jamy. Zauważam, że mój nowy kompan bynajmniej mnie nie opuścił. Siedzi on przy wypatroszonych zwłokach wielkiego kota i spokojnie żuje zamrożone płaty jego mięsiwa. Sama zaraz do niego dołączam, także racząc się lodowatym pożywieniem.

Zaś po skończonym posiłku zabieram ze sobą trochę mięsnego prowiantu i bez pożegnania udaję się w górę. Lecz szybko się orientuję, że mój nowy, śnieżny znajomy podąża w ślad za mną. I nie będę tego przed sobą ukrywać. Tak, jestem z tego powodu zadowolona, nawet bardzo. To naprawdę trudne być nieustannie samotną i rada jestem z powitania u mego boku nowego druha.

Wspólnie wspinamy się po stromym, lodowym wgórze, którego niedostępny wierzchołek cały czas ginie gdzieś w gęstych chmurach. Nieprzerwanie prowadzę i często toruję drogę w głębokim śniegu memu kompanowi. On odwdzięcza mi się swoim towarzystwem, które jest dla mnie wsparciem. Ponadto dzielę się mrożoną strawą. Może to właśnie dlatego ciągle nie jestem sama. Tego nie mogę wiedzieć.

Aż w pewnym momencie, gdy wspinam się po stromym nawisie, chwytam kawałek oblodzonej ściany i ta odrywa się od skarpy. Ani się obejrzę, a spadam z kawałkami lodu, by następnie ślizgać się bezwładnie w kierunku bezdennej rozpadliny. I w ostatniej chwili łapie za moje ramię potężna, owłosiona dłoń, po czym podźwiga mnie do pionu.

Uświadamiam sobie, że prawie zginęłam i wstrząśnięta głęboko oddycham, wpatrując się niemal z uczuciem w szare ślepiea człekokształtnej istoty. A nawet przeczesuję jej gęste, białe futro, aby dać wyraz mej podzięk. W odpowiedzi słyszę rozkoszne pomruki i zaraz znowu wspinamy się razem.

Natomiast jeszcze tego samego dnia, pod wieczór, słyszę za sobą żałosny skowyt. Oglądam się i widzę, że mój wierny towarzysz zaklinował się pomiędzy dwiema oblodzonymi skałami.

Dobynam mieczy, aby mu pomoc, choć przez mój umysł przebiega myśl, którą sama jestem wręcz przerażona – skoro moim celem jest wejście na szczyt, to czy nie powinnam poczynić właśnie kolejnego zapasu świeżego mięsa? Rezerwy pożywienia bowiem drastycznie się kurczą, a do tego mój żołądek już prawie nie przyjmuje mrożonego pokarmu. Jednak szybko duszę w sobie ten pomysł i szybkimi ciosami odkruszam ostrzami lód z pary szpiczastych skał. Tym samym oswobadzam z matni człekokształtną istotę.

Wkrótce jest już noc i wspólnie spoczywamy w wykopanej w śniegu jamie. Jest coraz zimniej i znowu doskwiera mi głód, także pragnienie. Na resztki mrożonego mięsa, jako jadła i śnieg w formie skromnej napitki, nie mogę już patrzeć. Po raz pierwszy ogarniają mnie poważne wątpliwości. Czy podołam temu szalonemu wyzwaniu? Czy zdołam wejść na sam szczyt?

Z pewnym niepokojem zasypiam, a budzi mnie ucisk w kroczu. Otwieram oczy i dostrzegam pomiędzy moimi nogami owłosioną głowę mego kompana. Ten głośno węszy i pojękuje. W odpowiedzi gwałtownie odpycham go od siebie, kopiąc w głowę nogami. Z kolei on patrzy na mnie zaskoczony, po czym okłada się pięściami w tors, rycząc przeraźliwie i z dziką, zwierzęcą furią, rzuca się na mnie. Przygniata mnie swoją przytłaczającą masą brzuchem do śniegu i wykonuje gwałtowne ruchy biodrami. Przygnieciona ledwo oddycham i doskonale czuję, co chce uczynić ta męska, śnieżna istota. Na całe szczęście wciąż posiadam na sobie przepaskę biodrową, której za nic nie zamierzam zdejmować.

W końcu ni to zwierzę, ni człowiek, za to istota gnana ślepa żądzą, daje za wygraną. Wciąż ciężko dyszy, ale pojękuje już z wyraźnym zawodem. Kładzie się bezwładnie na moich plecach i niebawem zasypia. Również i ja z czasem zapadam w sen. A kiedy się budzę, zauważam, że śnieżna istota dobrała się do mojej torby przy pasie i zjadła resztę mrożonego mięsa.

W tej chwili i mając w pamięci wydarzenia ostatniej nocy, patrzę na mego druha z wyraźną niechęcią. I to do tego stopnia, że gniewnie szczerzę do niego kły. On odwziewa mi się tym samym, spryskując mą twarz ciepłą śliną, która zaraz zamarza na mych policzkach. Odruchowo kładę dłoń na rękojeści jednego z mieczy. Ale zaraz luzuję uścisk. Opatulam się ciaśniej posiadany futrem i wychodzę ze śnieżnej jamy, aby wznowić morderczą wędrówkę.

Od kilku dni oddycham coraz ciężiej i doświadczam uczucia dezorientacji. Zaś w palcach stóp i rąk czuję ściskające od zimna kłamy bólu. Lecz powtarzam sobie, że ta góra nie może się przecież piąć w nieskończoność, przesywając same niebiosy. Niewątpliwie szczyt jest już blisko, musi być.

Aż pewnego razu dostrzegam w powietrzu coś białego. W pierwszym momencie wydaje się to śniegową kulą oderwaną od zbocza. Jednak mrużę oczy i zauważam, że jest to ptak. Nie rozumiem, co może robić na takiej wysokości, gdzie praktycznie nie ma już pożywienia, ale przyjmuję to jako dar niebios. Zdejmuję łuk z pleców, przymierzam i wykonuję celny strzał.

Ptak opada w pobliżu na śnieg, a ja odczuwam w trzewiach intensywne burczenie. Oczywiście wyobraźni już odcinam ptakowi głowę i z jego korpusu, niczym pucharu wlewam sobie do ust ciepłą krew, by potem sycić się świeżym mięsem.

Gnana tą wizją przyspieszam w kierunku cennej zdobyczy, lecz pierwszy dociera do niej mój kompan i chwytą ją w masywne dłonie. Spogląda na mnie z ukosa i chowa ptaka przede mną, dając do zrozumienia, że tym razem nie zamierza się dzielić.

Ja z kolei nie zamierzam głodować! Nagle doświadczane łaknienie wyzwala we mnie iście zwierzęcą furję i dobywam mieczy, po czym rzucam się na mego dotychczasowego kompana. Zanim do niego dobiegam, ten zwraca się w moją stronę, rozpościera szeroko ramiona i wydaje ze swego gardła potężne wycie. W odpowiedzi wykonuję dwa zamaszyste ruchy mieczami. W efekcie po okolicy niesie się jeszcze jedno wycie istoty, a w powietrze wzbijają jej dwa odcięte palce.

Następnie patrzymy na siebie w napięciu gotowi rzucić się sobie do gardeł i już wiemy, że jedno drugiemu posłuży dziś za obfity posiłek. Lecz raptem słychać nad nami złowrogi szum. Spoglądamy tam i naszym oczom ukazuje się potężna śnieżna lawina, która z zawrotną prędkością mknie prosto na nas.

Kolejne śmiertelne zagrożenie mnie otrzeźwia i wskazuję istocie przede mną lodową skałę, za którą możemy się schować. Jednak mój były kompan wpada w dziki szał i nie bacząc na nic, skacze wprost na mnie. Łapie moją osobę wpół w tym samym momencie, kiedy dosięga nas pędząca lawina. Spadając z wielkimi masami śniegu, kotłujemy się ze sobą, gdzie me ciało dosięgają obce zęby i paznokcie, a odwzięczam się, atakując zajadłe ostrzami. Tnę na oślep, to świadomie wymierzam okrutne ciosy w obłapiające ręce, które próbują mnie zmiażdżyć.

W końcu lawina wytraca impet na płaskim szczycie lodowego nawisu. Z wielkim trudem wygrzebuje się ze śnieżnej otchłani i staje na ugiętych nogach, dygocąc i oddychając głęboko. Jednocześnie rozglądam się naokoło i naraz widzę sterczącą ze śniegu kurczowo wyciągniętą, zakrwawioną dłoń pozbawioną dwóch palców.

Być może ta człekokształtna istota wciąż jeszcze żyje, ale ja już nie pragnę jej istnienia. Jest dla mnie martwa i niech skona w tym śniegu, a gdy dokona żywota wyciągnę ją na powierzchnię, aby nasycić się świeżym ciałem. Myślę tak i przyglądam się swoim własnym dłoniom. Zastanawiam się kim, czy raczej czym, się tu stałam, w Otchłani. Odpowiedź jest dość bolesna.

W poszukiwaniu niezrozumiałego aspektu boskości stałam się niczym dzikie zwierzę. Przystałam do istoty nie będącej człowiekiem. Żywię się surowym mięsem i krwią. Do tego co dzień znoszę zimno, głód oraz trawi mnie niepewność jutra.

Czym się stałam? To pytanie wiruje mi coraz mocniej w głowie. Czy ja oszalałam?! Czy w tych śnieżnych odmętach spotyka mnie to samo, co poznaną przeze mnie staruchę, która rzuciła się w przepaść?

Sama stoję obecnie nad lodową przepaścią, a potem siadam nad nią. I naraz w jednej chwili całe napięcie ode mnie odchodzi. Moje oczy się rozświetlają, a mój wyzwolony duch szybuje w otwartą przestrzeń.

Nagle jest tak cudownie...

Ale nie, nie podążam na szczyt Góry Bogów. Właśnie tam nieprzerwanie zmierzałam i do czego mnie to zaprowadziło? Dlatego szybuje z zawrotną prędkością w dół aż do podnóża zaśnieżonych gór w leśną gęstwinę. Podążam za jedynym uczuciem, które łączy mnie ze światem śmiertelników. A jest nim pamięć o moich przyjaciołach. Ludziach, którzy na swój sposób mnie zdradzają, ale których i ja sama zawodzę. Wybaczam im, tak, wybaczam. I żywo zastanawiam się, czy jest coś, co mogę dla nich zrobić.

I oto mój duch zatrzymuje się przy Exonie. Potężny mężczyzna dosiada białego rumaka i stoi w szeregu konnych amazonek z Legionu Śmierci. Te wskazują mu teren przed sobą, jałową, zasnutą mgłą łąkę, po której suną zgarbione postacie uzbrojone w halabardy. Wrodzy wojownicy

przypominają posturą wielkie, pancerne żółwie i rzeczywiście na ich skrzywionych plecach dostrzegam, jakby stalowe skorupy.

Naraz jedna z amazonek uderza batem w odsłonięte plecy Exon, a wtóruje jej druga, po jego przeciwległej stronie. Trzecia zlizuje mu długim językiem krew z rozciętej skóry na łopatkach. Potem odpina mu łańcuch od obroży wokół szyi i wskazuje powolnych przeciwników. Wojownik przybiera gniewny wyraz twarzy i nie reaguje, aż na jego muskularne plecy ponownie spadają bicze i rozciętą od razów skórę znowu znaczy krew. A wtedy szarpie on za wodze rumaka i unosząc miecz, porywa się do szaleńczej walki.

Amazonki, a także ja, obserwujemy Exona, jak toczy straceńczą potyczkę z licznymi przeciwnikami. Uwija się między nimi, jak może, racząc ich ostrzem miecza, choć nie mija nawet chwila, a spada z konia zasieczonego wrogą halabardą.

Nie oglądam dłużej tej nierównej walki, tylko wzlatuje dalej. Przemierzam wielką odległość i oto doświadczam obecnej egzystencji Ravela. Cały w kajdanach, powłócząc nogą i z opuchniętą od sińców twarzą, znajduje się po kolana w końskich odchodach, które przerzuca z miejsca na miejsce. Przebywa on w wielkiej stajni pośród setek koni i innych pracujących tu osób.

A zaraz jestem już przy Viri. Odnajduję ją w wielkim, wydrążonym pniu nietypowego drzewa. Kobieta z Favera zawieszona jest głową do dołu, a w górze ma przywiązane nogi lianami do wewnętrznego konaru. Jej ciało jest głęboko nacięte w wielu miejscach i spływa z niego krew, skapująca wprost na przeplatające ziemię korzenie. Te zdają się poruszać niczym chmara węży.

Gnam coraz dalej i oto objawia mi się Gabu. Również i on skuty jest łańcuchami. Miejszem jego bytności jest wielki plac przy bulgoczącym, wręcz gigantycznym kotle. Zaś na plecach grubasa zawieszony jest kosz. Siedzi w nim jakaś karłowata istota, która co raz dźga Gabu w kark aż do krwi ostrym szpikulcem, poganiając, aby szybciej mieszał chochlą w wielkim naczyniu.

Od Gabu podążam do Adory i dostrzegam ją w kondukcje różnorodnych istot splecionych grubymi sznurami i zmierzających za bramy posępnej

warowni. Zaglądam tam i już wiem, gdzie zmierza – prosto na targ niewolników.

Natomiast Kalilla? Wszystkimi zmysłami staram się przeniknąć przestrzeń, aby odszukać trop znanej mi, jasnowłosej kobiety z Razzinal. Ale jak bardzo bym się nie starała, nie mogę jej odnaleźć. A więc...? Nagle ogarnia mnie przytłaczający smutek.

Zrezygnowana powracam do swego ciała i wniosek z podróży, którą akurat odbywam, mam tylko jeden. Wszystkie w jakiś sposób bliskie mi osoby przechodzą na ten czas niezасłużone cierpienie i katusze. A to właśnie ja jestem tą, która przywodzi ich tu z Terraticos złudną obietnicą wolności. Co zaś za moją sprawą otrzymują?

Nie, nie mogę się z tym pogodzić. Dlatego stwierdzam, iż wszystko, co muszę teraz uczynić, to nie oglądać się na boki, czy dumną Górę Bogów. Muszę powrócić do świata ludzi i wziąć odpowiedzialność za własne czyny oraz los innych, bliskich mi osób.

Po tej decyzji, która jest niezłomna, nagle czuję się o wiele starsza, wręcz postarzała, zupełnie jakbym stąpała po tym świecie od tysięcy lat. Jednak przez to postrzegam się także, jako bardziej doświadczoną oraz mądrzejszą i gotową sprostać nowym wyzwaniom, dokładnie tak.



V. KOWAL

Postawny mężczyzna otrzymuje kolejne uderzenie biczem w plecy. Odwraca się z gniewnym wyrazem twarzy, ale zaraz tamuje emocje, gdy stojące za nim amazonki wskazują swoje nieco wypukłe brzuchy.

Tak, on, Exon, ulega strachowi albo pokusie, choć zapewne obu tym niegodnym skłonnościom. Ale pragnął przede wszystkim przetrwać i oto dał dzieci kobietom za jego plecami. Tym samym istotom, które nieustannie katowały go i poniżały, traktując gorzej, niż psa. Teraz zaś pchały go samotnie do następnej morderczej potyczki. Jednakże nie mógł im się przeciwstawić, było już na to za późno. Skoro mieli mieć wspólnych potomków, przecież nie zabije matek swoich dzieci.

Z tą myślą zwraca się plecami do trójki kobiet, a przodem do pięciu napastników. Jest to odziana w futra i uzbrojona w kamienne młoty bojowe grupa barbarzyńców. Ludzi, na których polują w tych rejonach amazonki z Legionu Śmierci.

Exon wyciąga przed siebie miecz i niespiesznie zmierza pieszo w kierunku nowych wrogów. Tuż przed nimi zatrzymuje się i czeka na pierwszy ich ruch. I już wie, że nie zanosi się na łatwą potyczkę. Ostatnio, kiedy walczył z trójką podobnych przeciwników, tylko cudem uszedł z życiem.

Spogląda, jak jego wrogowie rozsuwają się w półokrąg i zaczynają go otaczać. Nie czeka, aż go ostatecznie osaczą, tylko atakuje. Czyni wypad na lewy skraj przeciwników i najbardziej wysuniętego z nich celnie uderza ostrzem w bok. Nieszczęśliwie miecz dostaje się pomiędzy żebra i zaklinowuje w śmiertelnie zranionym barbarzyńcy, a jego kamraci hurtem rzucają się do ataku. Ku Exonowi szybują młoty bojowe zarówno z boku, góry, jak i po skosie. Dlatego puszcza swój miecz i pada plackiem na ziemię. Chwyta upuszczony młot zranionego w żebra barbarzyńcy i w

ostatniej chwili osłania się drewnianym trzonkiem przed gradem ciosów. Następnie z pozycji leżącej gruchocze głowicą swej nowej broni kostkę jednego z przeciwników i turla się dalej. Skacze na nogi, po czym wykonuje zamaszty cios młotem, trafiając jego głowicą prosto w czaszkę barbarzyńcy i rozbryzgując jej strzępy w przestrzeń. Lecz kolejny cios obuchową bronią dosięga właśnie jego ramienia.

Exon kuli się z bólu i jedną ręką puszcza trzonek, a jednocześnie pochyla się aż do pasa, ratując przed celnymi trafieniami w swoją stronę. Przewyciężając ból w obitej kończynie, chwytą swoją broń oburącz i z góry spuszcza młot na przykucniętego przeciwnika, któremu wcześniej zgruchotał kostkę. Trafia go w sklepienie czaszki, która zostaje zmiażdżona, a młot zagłębia się w miękkim mózgowiu.

Exonowi pozostaje trzech przeciwników i w tym momencie każdy z nich zadaje mu celny cios w plecy, tors oraz udo. Większość mężczyzn po takich razach padłaby na ziemię, aby już z niej nie powstać. Ale wytrzymałość Exona jest ponad przeciętną i obalony zostaje tylko na jedno kolano. Lecz jego ciało doznaje silnego wstrząsu i wypuszcza broń z dłoni. Zaś jego wrogowie, jak jeden mąż, biorą następne zamachy, tym razem bardzo obszerne, aby zwieńczyć swe dzieło i wreszcie zabić zamorskiego wojownika z królestwa Salador.

Exon wie, że to koniec, a skoro tak, zamyka oczy na świat i w wyobraźni wizualizuje swoją jedyną prawdziwą miłość – Kalillę. Całuje swoje dwa palce i wznosi je wysoko, aby swej ukochanej złożyć ostatni chłód. I czeka na miażdżące ciosy, które ostatecznie wyrwą z niego życie i uczynią go jedynie górą krwawego mięsa. Jednak o dziwo śmiertelne razy wciąż nie nadchodzą.

Po dłuższym czasie mężczyzna otwiera oczy, a wówczas dostrzega wokół siebie pięciu martwych barbarzyńców, w tym trzech brutalnie zaszlachtowanych ostrzami. Spogląda w kierunku amazonek i kompletnie zaskoczony widzi, że także one są martwe z rozciętymi gardłami oraz ranami w brzuchach. I w tym momencie naprawdę nie żałuje śmierci ich wspólnych, nienarodzonych potomków. Natomiast jest wręcz gotów czcić swoją zupełnie niespodziewaną wybawczynię.

Oto pomiędzy amazonkami stoi znana mu postać. Nie tak dawno jeszcze dziewczyna, którą teraz ma już bez wątpienia za kobietę i to niezwykle biegłą w bitewnych zdolnościach. Na bezdechu wymawia jej chwalebne imię:

– Anrea...

*

Z zakrwawionych trupów, męskich i żeńskich, zabieramy trochę prowiantu, ubrań i przydatniejszych przedmiotów, jak krzesiwa czy noże. Potem oddalamy od tego miejsca pełnego śmierci i grozy.

Wkrótce Exon przerywa milczenie i spoglądając na mnie z ukosa, mówi do mnie wyjątkowo na niego łagodnym głosem:

– Jesteś może głodna, zmęczona? – Na te słowa kiwam twierdząco głową. – Zatem zatrzymajmy się tutaj. – Pokazuje on na przywiązaną do swego pasa torbę z jedzeniem.

Niebawem raczę się z przyjemnością pieczonym mięsem z nieznanego mi zwierzęcia, przegryzając je kwaśnawym w smaku zielonym liściem. Sama jestem bez reszty pochłonięta posiłkiem. Ostatnio naprawdę doskwierał mi wielki głód. Z kolei Exon popija tylko wodę z bukłaka i ponownie do mnie przemawia:

– Dziękuję ci... Bo jeszcze ci nie podziękowałem za uratowanie mego życia. – Twierdząco, powoli opuszczam i podnoszę powieki, nadal koncentrując główną uwagę na zatapianiu zębów w mięsiwie. – I... przepraszam... – dodaje z pokorą mężczyzna. – Przepraszam, że w ciebie zwątpiłem i pozostawiliśmy cię na pastwę barbarzyńców. – Tym razem tylko wzruszam obojętnie ramionami, zaś Exon ciężko wzdycha i kontynuuje: – Jestem ci winien dodatkowe wyjaśnienia, bowiem nie możesz wiedzieć, niby skąd... Otóż... nasza grupa się rozdzieliła. Zostaliśmy zaatakowani i wielu z nas zginęło. Prawdę mówiąc, to nawet nie wiem, jak wielu. Być może tylko mi dane jest przeżyć... – Na te słowa na moment przerywam posiłek i kręcę przecząco głową: – W reakcji na mój gest wojownik tylko uśmiecha się kwaśno i z bólem oznajmia: – Kallila nie żyje, tak... Moje ciemżycielki, które zgładziłaś, pokazały mi jej odciętą, złotowłosą głowę, a właściwie to, co z niej zostało... bez oczu, nosa i uszu... I jeżeli mam być szczery, a chcę być z tobą szczery... to tylko na

mej ukochanej mi zależało. Wszystko, co robiłem, czyniłem dla niej i abyśmy mogli być razem... – Spogląda w zadumie w poszarzałe niebo. – Wiedz też, że dla Kalilli, właśnie dla niej... ją samą okłamywałem, tak... – Spuszcza nisko głowę, wlepiając smutny wzrok w wilgotną ściółkę, po czym kieruje spojrzenie na mnie i wyznaje: – Wiedz, że wbrew temu, co głosiłem, nie jestem szlachetnie urodzoną osobą... Wymyśliłem to, aby zyskać względy szlachetnej Kalilli i choć po części stać się jej godnym... Tak naprawdę jestem synem prostego kowala. I ongiś, jako dorastający młodzieniec, otrzymałem zlecenie od niejakiego lorda Burona, abym podkuł mu konia. Lecz akurat wykuwałem swój pierwszy miecz. I po prostu musiałem dokończyć moją pracę, to było silniejsze ode mnie. Kiedy zaś ostrze było ukończony, udałem się z nim ćwiczyć za stodołę... Wyobrażałem sobie, że jestem wspaniałym rycerzem. I ta wizja pochłonęła mnie do tego stopnia, że zapomniałem o mojej powinności wobec lorda. Srogo zawiodłem i za karę zostałem zakuty w kajdany. Na pewien czas uwięziono mnie, a potem oddano do pracy w kopalni, aż wreszcie trafiłem do szkoły gladiatorów Artusa... Tak przedstawia się moja prawdziwa historia. Uratowałaś mi życie, powinnaś więc wiedzieć, komu uczyniłaś ten zaszczyt. Teraz nie mogę mieć już przed tobą tajemnic, jestem bowiem twoim dozgonnym dłużnikiem... – Kiwam z wolną głową, jakby w zamyśleniu i zabieram z ręki Exona bukłak z wodą, aby się napić. Oddaje mi go bez oporu, w końcu, jak twierdzi, jest teraz moim dłużnikiem. Piję więc i nie myślę o prawdziwej historii mężczyzny, z którym dzielę kawałek polany. Każdy ma jakąś przeszłość i coś, co chciałby z niej wymazać albo uznać, że się nigdy nie wydarzyło. Każdy bywa kłamcą choćby przed samym sobą. Czy dlatego miałabym kogoś potępić? Nie mam takiego zamiaru. Przekonałam się już na samej sobie i to nie raz, że chwilowe słabości i ludzkie istnienie chodzą ze sobą w parze. Jestem na tym świecie już na tyle długo, aby aż nazbyt dobrze tę prawidłowość zrozumieć.

Po skończonym przeze mnie posiłku Exon oznajmia, że pragnie wypełnić wolę Kalilli i przejść Otchłań północną drogą. Godzę się na to, ponieważ ten kierunek odpowiednio koresponduje z moimi własnymi planami.

Tak oto znowu jesteśmy w drodze. Z polany wkraczamy w spalony las, gdzie towarzyszą nam poczerniałe kikuty drzew i wypalona do cna ziemia.

Następnie wychodzimy na kamieniste zbocze średniej wysokości pasma gór i od tej pory podejmujemy wspinaczkę.

W pewnym momencie pragnę się samotnie oddalić za potrzebą i szukam sobie ustronnego miejsca. Lecz Exona, zupełnie jakby się obawiał zostać sam, idzie krok w krok tuż za mną. Zniecierpliwiona, z coraz większym parciem na pęcherz, odwracam się do mężczyzny i intensywnie gestykuuję, próbując dać do zrozumienia, że muszę oddać mocz. Jednak dostrzegam, że Exon z mojego przekazu kompletnie nic nie rozumie. Kreślę więc odpowiedni napis palcem na piasku, a w odpowiedzi słyszę:

– Nie potrafię czytać... Mówiłem, że byłem jedynie kowalem...

Spoglądam na niego zrezygnowana i po prostu zaczynam biec, byle dalej, aż uciekam za odległy głąz. Ale gdy tylko tam dobiegam, zdyszany mężczyzna wpada w ślad za mną. Łapie mnie za ramię i z wyrzutem krzyczy:

– Czy powiedziałem coś nie tak?! Tak, jestem kowalem, nie arystokratą, kłamałem! Czy z tego powodu nie jestem godny twojego towarzystwa, porzucasz mnie?!

Energicznie kręcę przecząco głową i mam tej sytuacji już naprawdę dość. Czuję, że zaraz rozsadzi mi pęcherz! Dlatego wyrywam się z męskiego uścisku. Gwałtownym ruchem odwiązuję sobie przepaskę biodrową i kucam, po czym oddaję naprawdę potężny strumień moczu. Cóż za niewysłowiona ulga...

Z kolei mężczyzna z Saladior zastyga zszokowany. Ze zdziwienia otwiera szeroko usta i jak zahipnotyzowany wpatruje się w moje krocze. Następnie błyskawicznie okręca się na pięcie i z siebie wyrzuca:

– Przepraszam! Przepraszam! Na honorowego Avenedora! Nie miałem pojęcia!

Raczej nie mam możliwości przekazać kompanowi, że w sumie nic się nie stało. Za to z ulgą kończę swoją czynność fizjologiczną, pozostawiając pod sobą prawdziwe jezioro.

Ponownie się ubieram, a wtedy kładę dłoń na muskularnych plecach Exona ubranego w futro jednego z zabitych barbarzyńców. Mężczyzna

podskakuje jak oparzony i zaraz spogląda na mnie z ukosa. Lecz widząc moje opanowanie i sam się wreszcie rozluźnia.

Od tej pory spokojnie kontynuujemy wspinaczkę po niezbyt stromym zboczu. Podążamy wyłobieniami po wyschniętych i częściowo zamarzniętych potokach, a innym razem pniemy się po zalesionych połaciach terenu. Sporadycznie musimy pokonać jakąś pionową ścianę i wówczas pomagamy sobie nawzajem, podając ręce bądź napierając na plecy czy pośladki.

W końcu osiągamy bardziej równinny teren na przemierzanej wyżynie. Podróżujemy tak przez kilka dni, aż droga znacząco obniża się ku dołowi. Zgodnie pokonujemy ją bez wysiłku, napotykając jedynie nieliczne zwierzęta, za to żadnych potworów, ludzi, czy dziwacznych, nieznanym nam istot. Do czasu.

W rozległej kotlinie u podnóża gór natrafiamy na rozległe obozowisko, gdzie dostrzegamy niezliczoną ilość wypasających się rumaków. Dalej zauważamy zbudowane z drewna obszerne stajnie, a wreszcie ludzi w śliskich, brązowych skórkach. Przypominam sobie, że z ich przedstawicielami walczyłam już niegdyś na arenie.

– To Jeźdźcy Majanu... – chrypi ponuro ukryty Exon, spoglądając w dół zza jednego z głazów. Z kolei ja sama wskazuję dłonią wspomnianych jeźdźców i wymownie czynię krok właśnie w tę stronę. – Nie, nie możemy tam iść. Ci ludzie nas zabiją albo zniewolą. – Reaguje na mój ruch mężczyzna z królestwa Saladior. Na co podnoszę z ziemi patyk i maluję na ciemnym piasku trójząb, sieć, oraz postać człowieka, po czym pokazuję na stajnię. Mój kompan przygląda się moim malunkom, to wskazanemu kierunkowi, drapiąc się przy tym po brodzie, aż doznaje olśnienia i gromko wypala: – Ravel? Sieciarz?! Jeźdźcy Majanu więżą Ravela?! – Z lekkim uśmiechem na ustach potwierdzam kiwnięciem głową. – Ale skąd możesz to wiedzieć?! – pyta wielce podejrzliwie. W odpowiedzi ogląda moje mrugnięcie okiem, ja zaś słyszę jego zdecydowaną odpowiedź: – Zaufam ci, zatem wiedz, że jestem z tobą. Jeżeli tylko Ravel tu jest i możemy go stąd uwolnić, uczynimy to, prowadź.



VI. ZŁODZIEJ

Mam prosty plan. Do tego stopnia nieskomplikowany, iż żywię nadzieję, że idący za mną Exon nie poczyni niewłaściwego kroku i niebawem odbijemy Ravela z rąk Jeźdźców Majanu. A żeby to uczynić, najpierw zakradam się do jednej z wielkich zagród z końmi na otwartej przestrzeni, mój kompan zaś podąża za mną niczym cień.

Kroczymy niezauważeni między rumakami, ich potężnymi, karymi, siwymi czy gniadymi cielskami. Aż w pewnym momencie słyszę męską rozmowę w nieznanym mi języku. Pokazuję Exonowi otwartą dłoń i wykonuję nią pchnięcie w jego kierunku, co oznacza, że ma wzmóc czujność i pozostać na miejscu. Nie wiem, czy prawidłowo odczytuje mój przekaz i nie zwracam na to uwagi. Ostrożnie skradam się dalej gotowa na nadchodzącą konfrontację.

Wyglądam ukradkiem ku obcym ludziom zza końskiego zadka, a jego właściciel macha bujnym ogonom, wachlując mnie po twarzy. Naraz mocno kręci mi w nosie i już wiem, że zaraz bezgłośnie kichnę. Kilkakrotnie gwałtownie napinają mi się mięśnie twarzy, a moją podejrzaną mimikę obserwuje właśnie dwóch Jeźdźców Majanu.

Wykonuję ku nim wypad głową do przodu, połączony z szerokim rozwarciem ust – tak, to w moim wykonaniu kichnięcie. Następnie podskakuję do przodu i czynię z obrotu kopniak w twarz pierwszego z moich wielce zdziwionych wrogów. Pada on pod nogi rumaka, a jego kamrat wyciąga zza paska dwa ostrza. Sama nie dobywam broni. Potrzebuję bowiem nowych ubrań, ale takich bez dziur i niezakrwawionych.

Dlatego robię jeden i drugi unik do tyłu w odpowiedzi na wymierzone ku mnie wymachy ostrzami. A zaraz zręcznie łapię za uzbrojone kończyny mężczyzny i boleśnie je wykręcam, czyniąc bezbronny. Ostrza spadają

na ziemię, a ja, nie puszczając obcych rąk, uderzam czołem w twarz przeciwnika, po czym ściągam na siebie i przerzucam górą. Potem podskakuję do leżącego na plecach mężczyzny, chwytam za głowę i zdecydowanym ruchem skręcam mu kark.

Z tą chwilą spoglądam na pierwszego Jeźdźca Majanu, który na samym początku walki pada na ziemię po moim niewybrednym kopniaku. Kwaśno się uśmiecham, widząc, że ma częściowo zmiażdżoną twarz z odciskami końskich kopyt na nosie i policzkach.

A zaraz, tuż koło mnie, pada trzeci tubylec. To dzieło Exona, który zrzuca sobie z ramienia pokonanego gdzieś za moimi plecami nieszczęśnika, także z już przetrąconym karkiem. Spoglądam na mojego kompana z pewnym uznaniem, ponieważ samodzielnie upolował swoją ofiarę, a dodatkowo nie naruszył jej ubioru.

W toku dalszego planu przebieramy się z Exonem w śliskie skóry Jeźdźców Majanu. Natomiast trzeci komplet ich ubioru oraz nasze dotychczasowe stroje, upychamy do posiadanych, skórzanych toreb, które przywiązujemy do końskich siodła. Te spoczywają właśnie na grzbietach trzech wyselekcjonowanych rumaków.

Wyprowadzamy zwierzęta za uzdy z zagrody otoczonej drewnianym płotem i jakby nigdy nic zmierzamy do krytej dachem stajni, gdzie zgodnie z moją wiedzą powinien przebywać Ravel. Po drodze odwracamy wzrok od licznych tu Jeźdźców Majanu i wtapiamy się między nich, nie różnicując się posiadaniem ubiorem. Choć Exon w wyjątkowo ciasnym stroju przypomina trochę ściśnięty sznurami baleron. I dlatego nowe ubranie wojownika zostało z konieczności nacięte w kilku miejscach. Inaczej potężny mężczyzna z królestwa Saladior za nic by się w śliskie skóry nie wcisnął.

Przed stajnią przywiązujemy rumaki do drewnianego pala wbitego w ziemię, który służy do takich celów i wkraczamy do wnętrza dość mrocznego pomieszczenia. Uderza nas ciężki fetor końskich odchodów, a także przebijający przez nie smród gnijącego mięsa. Do tego wszędzie dostrzegam chmary czarnych much. Wtedy zdaję sobie sprawę, że docieramy do miejsca, gdzie najwyraźniej trzymane są gromadnie chore wierzchowce.

Idziemy z Exonem pomiędzy rzędami ciasnych zagród, w których zwierzęta stoją bądź leżą, a wiele z nich jest mocno obandażowanych. Czasem dogląda ich jakaś postać. A jedna z nich akurat szlachtuje krótkim, zakrzywionym mieczem gardło poranionego konia, zapewne go dobijając. Rozlega się głośne, przerywane parsknięcie, kończące żywot rumaka. Aż raptem zauważam kątem oka Ravela.

Ubrany wyłącznie w brudną przepaskę biodrową pokryty jest w dużej mierze końskim łajnem. Przemieszczając się, wyraźnie utyka, a w dłoniach trzyma szufłę do zgarniania odchodów, które wysypuje do drewnianego wiadra. Głowę ma nisko opuszczoną, a wzrok nieustannie wbity w pokrytą zgniłą słomą ziemię.

Razem z Exonem podchodzimy do niego, a gdy się orientuje, że wzbudza czyjeś zainteresowanie, nie patrząc z kim ma do czynienia, pada na kolana i usłużnie przykłada czoło do stopy przybyłego ze mną mężczyzny. Z kompanem patrzymy po sobie skonsternowani, a nieszczeńnik przed nami własnymi dłońmi oczyszcza z końskiego łajna buty Exona i czyni to z coraz większym oddaniem.

– Przestań – posykuje wreszcie wojownik z królestwa Saladior i odkopuje od siebie Ravela. Ten kuli się trwożnie i spogląda na nas. Mruży z niedowierzaniem oczy i wodząc wzrokiem po mojej sylwetce, to Exona naraz zanosi się cichym płaczem. – Przestań! Weź się w garść! – powarkuje ponownie Exon. Pochyla się nad biedakiem i kładzie mu krzepiąco dłoń na brudnym ramieniu, po czym mocno potrząsa. – Przybyliśmy cię uwolnić, konie czekają, a ty musisz się w to przebrać. – Wciska mu do rąk strój Jeźdźców Majanu. Na co Ravel opanowuje spazmy, pokornie kiwa głową i drżącymi dłońmi szybko zakłada nowe ubranie. Zanim założy buty dostrzegam, że brakuje mu dwóch palców u lewej stopy, która jest nieco zaczerwieniona. Więc to dlatego utyka – myślę, a zaraz zmierzamy już na zewnątrz stajni z chorymi zwierzętami.

Na wolnej przestrzeni Exon pomaga dosiąść Ravelowi rumaka. Sam także zajmuje miejsce w siodle podobnie jak ja. Kiwa mi porozumiewawczo głową i wszyscy ruszamy stępą przed siebie. Nieopodal znajduje się otwarta brama w drewnianym ogrodzeniu, a dalej droga pomiędzy wzgórzami wiodąca na zewnątrz zamieszkałej kotliny.

Wszystko wydaje się nam sprzyjać w bezpiecznej ucieczce. Jednak, gdy przekraczamy wspomnianą bramę, pilnująca jej para mężczyzn koncentruje na nas wzrok i jeden z nich krzyczy coś w niezrozumiałym języku do Exona. Ten macha lekceważąco ręką. Na co Jeździec Majanu drze się jeszcze donioślej, aż cichnie i daje za wygraną.

I nagle znowu zdziera gardło, z chwilą, kiedy to Ravel samotnie rzuca się jak oszalały galopem do przodu. Spoglądam wymownie na Exona, a ten spina gwałtownie rumaka i raptem poganiamy co sił nasze wierzchowce, również wyrrywając przed siebie.

Niebawem odwracam się i widzę wzbijany za nami tuman kurzu wzniesany przez tabun ścigających nas jeźdźców. Nie tracę zimnej krwi i postanawiam wykorzystać umiejętności nabyte podczas moich ostatnich treningów w szkole Artusa, jako konnej gladiatrix.

Wyjmuję z torby przy siodle schowany tam łuk oraz kołczan ze strzałami. A kiedy droga, którą gnamy, zwęża się mocno pomiędzy skalnymi nawisami, zakładam strzałę na cięciwę, czynię skręt w pasie i celuję do tyłu. Ponadto zwalniam na tyle, aby oddawać celne strzały i mieć przeciwników w bliższym zasięgu.

I w tym momencie posyłam strzałę za strzałą, szyjąc z łuku zarówno w jeźdźców, jak i głowy ich rumaków. Nie mija chwila, a ludzie oraz zwierzęta przewracają się ranni i konający, kotłując się na drodze i splątują ze sobą, czyniąc w wąskim przejściu naturalny zator z mięsa i kości.

Tym sposobem pościg zostaje skutecznie powstrzymany, a ja zarzucam łuk na plecy i koncentruję uwagę na doścignięciu Exona oraz gnającego, jak oszalały, Ravela.

W końcu znowu jesteśmy we trójkę razem, a wtedy zwalniamy. Mężczyzna z chanatu Precis chyba dochodzi powoli do siebie, bo sam wskazuje nam boczną, leśną drogę. Skręcamy tam, zaś Ravel zeskakuje z konia. Odrywa od drzewa liściastą gałąź i dokładnie zamiata nią miejsce, gdzie zbaczamy z głównej drogi. Tak oto nasze ślady zostają zatarte.

Potem jedziemy jakiś czas stępą leśną ścieżką, aż ta się urywa i podążamy coraz bardziej mrocznym lasem. Natomiast gdy zaczyna się już ściemniać, Exon zarządza postój. Nikt nie wyraża sprzeciwu i tym sposobem wkrótce zbieramy się we trójkę wokół rozpalonego, skromnego

ogniska z przygotowanymi do posiłku bukłakami wody i mięsem upolowanych uprzednio wiewiórek.

Razem z Exonem siedzimy blisko siebie i niespiesznie raczymy się jadłem, z kolei Ravel je z taką łapczywością, jakby nie miał nic w ustach od naszego ostatniego, wspólnego spotkania. I przyznaję, że widać po jego wychudzonej sylwetce, iż może być w tym przypuszczeniu wiele prawdy.

W pewnym momencie Exon oznajmia, że idzie napełnić bukłaki świeżą wodą za strumienia, który mijaliśmy. Zarzuca sobie na potężne ramiona skórzane pojemniki i ginie w mroku nocy.

Zostaję sama z Ravelem, a on, podobnie jak kiedyś mężczyzna z Saladior po naszym ponownym spotkaniu, raczy mnie słowami pełnymi podziękowań i przeprosin. Następnie zwierza mi się ze swej prawdziwej historii:

– Niewątpliwie Viria by to zaakceptowała, ale wolałem podać się przy niej za kogoś innego. Kogoś... lepszego niż w rzeczywistości jestem... – mówi jękliwie, pochylając głowę. – Prawda jest bowiem taka, że nie zostałem oddany na gladiatora jako niewolnik pojmany w bitwie. Prawda przedstawia się tak, że w swej ojczyźnie byłem zwykłym, zafajdanym koniokradaem... – Podnosi na mnie wzrok, a wobec braku mej reakcji, kontynuuje: – Tak, wiem, teraz to nic już nie zmienia... Viri nie ma już z nami, a my także zapewne nie pożyjemy zbyt długo... – stwierdza smutno. – Niby jakim cudem mielibyśmy się wydostać z Otchłani? I... czy w ogóle zasługujemy na to...? – zawiesza głos. – Wy może i tak, ale ja nie, zdecydowanie nie... – kończy.

Sama nie czynię żadnych gestów na temat wywodów Ravela, tylko wskazuję na jego zaczerwienioną stopę pozbawioną dwóch palców. Ten mężczyzna ma obecnie zdjęte buty.

– Ach to... – Patrzy markotnie na swoją nie do końca sprawną kończynę. – Brakujące palce... – mówi jakby w zadumie. – To dwie próby ucieczki dwukrotnie skarcone przez Jeźdźców Majanu. Niestety byli na tyle konsekwentni w karaniu mojej osoby, że nie wypalili rany... Ona gnije... – Spogląda zrezygnowany w moje oczy.

– „Exon wspominał o uzdrowicielu, który leczy z ciężkich ran amazonki Legionu Śmierci” – gestykuuję.

– Nie... nic nie rozumiem. Co chcesz mi przekazać...? – mówi bezradnie Ravel.

– „Porozmawiam z Exonem” – Wstaję na równe nogi.

– Idziesz? Dokąd idziesz...? Nie zostawiaj mnie! Nie odchodź! – wyje naraz rozpaczliwie mężczyzna z Precis, który po swoich ostatnich, ciężkich przejściach przypomina raczej zalęknionego chłopca.

– „Wróć” – czynię gesty dłońmi i nie bacząc czy Ravel rozumie przekaz, czy nie, podążam w mrok w ślad za Exonem. A prowadzi mnie niczym za dłoń dźwięk szemrzącego w oddali strumienia. Ten się przybliża z każdą chwilą. Aż docieram nad brzeg płynącej bystro wody, która w świetle księżyca i gwiazd wydaje się czarno-srebrzysta.

Lecz lekkie światło z nocnego nieba, oświetla nie tylko strumień i jego okolice, ale również nagie ciało myjącego się mężczyzny. Przyglądam mu się dłużej skrycie i sama zostaję skuszona obmyciem ciała po trudach dnia w zimnej, orzeźwiającej wodzie.

Przeto rozbieram się i cała zanurzam w lodowatą toń, a zaraz wyskakuję gwałtownie do góry i rozcieram raptownie pokryte gęsią skórą piersi. Ale orientuję się, że spoczywają na nich nie tylko moje dłonie, także męskie, Exona, który przylega do mnie od tyłu i delikatnie gładzi mą skórę oraz sutki. I sprawia mi to przyjemność...

Odczucie chłodu szybko zastępuje ciepło, a w parze z nim idzie niespodziewane, wzrastające pożądanie. Ja jestem samotna, mężczyzna przy mnie również – myślę. Więc dlaczego nie mielibyśmy być razem, skoro zesłał nas tutaj wspólny los?

Odwracam się przodem do Exona, a on nachyla się nade mną i długo całuje w usta. Przechodzą mnie dreszcze i nie wiem, czy to od zimnej wody, w której stoję po kolana, czy od dotyku mężczyzny, w którego ramionach jestem.

Exon kończy nasz pocałunek, uśmiecha się lekko, po czym odgarnia mi z twarzy kosmyk rudych włosów. Następnie ujmuje moją dłoń i siadając w wodzie, ściąga mnie ku sobie. I zaraz kochamy się w pozycji lotosu, w jakiej podglądałem niegdyś mojego obecnego kochanka oraz Kalillę.

Sama co raz przyspieszam ruchy gnana narastającą przyjemnością. Z kolei mój mężczyzna przytrzymuje mocniej me plecy oraz pośladki, tonując tempo i sprawiając, że zmniejszam zakres swych energicznych ruchów. I mimo, że siedząc, do pasa zanurzona jestem w zimnej wodzie, która obmywa mnie wartkim prądem i wprawia w dreszcze, to góra mego ciała coraz bardziej płonie. Szczególnie zaś jego wnętrze. Aż naraz porywam się wręcz do szaleńczych ruchów, gdy wyzwolona zostaje w mym ciele obezwładniająca rozkosz. Trwa ona długo i sprawia, że moje ciało drży oraz napina się, po czym rozluźnia w błogiej, niewysłowionej uldze.

Delikatnie muskam ustami policzek oraz szyję Exona, próbując odgadnąć dalsze intencje kochanka i to, czego ode mnie oczekuje, czego pragnie. Spełnię to, oczywiście, ponieważ chcę, aby również zaznał ze mną pełni rozkoszy, nie bacząc na wszystko, nie zważając na nic.

On zaś powoli wstaje, ciągle trzymając mnie w górze z oplecionymi wokół swego pasa nogami. Następnie delikatnie odrywa od siebie me stopy i stawia mnie po kolana w wodzie, by samemu usiąść ponownie w strumieniu.

Dotykam swego krocza i orientuję się, że mój kochanek nie zostawił we mnie nasienia, a więc nie przeżył ze mną pełni przyjemności. Spoglądam na niego pytająco, a on spokojnie oznajmia:

– Darzę cię na tyle dużym szacunkiem, iż nie narażę cię na poczęcie dziecka w twym łonie w Otchłani, tej okrutnej krainie. Kochając się z tobą, ćwiczyłem Kan Li i jak mniemam, dałem ci przyjemność. Wiedz, że cieszy mnie to i sam odczuwam satysfakcję. A nawet więcej, pragnę się z tobą w ten sposób kochać co noc. Choć... to jeszcze nie koniec... – Po swoich słowach Exon wskazuje dłonią, abym ponownie usiadła, tym razem naprzeciw niego. Czynię to, a on dodaje: – Ofiarujesz mi teraz pełnię rozkoszy, nie ryzykując poczęcia dziecka. – W odpowiedzi kiwam ze zrozumieniem głową, a mężczyzna ujmuje ją w dłoń i zdecydowanie kieruje do swego krocza pod wodną toń.

Nie bronię się przed tym, tylko nabieram więcej powietrza i czynię to, czego oczekuje ode mnie mój kochanek. A kiedy zaczyna brakować mi tchu, staram się wynurzyć, ale nie mogę trzymana mocno za kark. Nie

wpadam w panikę, tylko poruszam ustami mocniej i szybciej, aby czym prędzej dać rozkosz mężczyźnie i móc ponownie nabrać powietrza do płuc.

I zaraz to się dzieje, pełnia przyjemność mego kochanka, a wtedy gwałtownie się wynurzam. Szybko i głęboko oddycham, napotykać przed sobą błogi wyraz twarzy mężczyzny z Saladior. Potem daję się utulić w męskich ramionach, przyjmując to uczucie z zadowoleniem.

Tak, poczułam się kobietą i to w pełni docenioną, z mężczyzną, którego może nie kocham, ale na pewno cenię i szanuję. I tak, pragnę to znowu powtórzyć, aby w tej okrutnej krainie zaznać czegoś, co jest jej przeciwieństwem. Czegoś, będącego magią płynącą z zespolenia dwóch ciał – naprawdę intensywnego.

Myśląc tak, tulę się do Exona, a on odwraca mnie i pochyla nad lustrem wody w pozycji na czworakach. Zaraz czuję dłoń na swoim pośladku, potem na drugim. I po chwili mężczyzna z Saladior znowu jest we mnie.

Te drugie zbliżenie trwa naprawdę długo. Nieustannie słyszę za sobą miarowy chłopot wody i męskie postękiwanie. Zanurzonej do połowy w strumieniu robi mi się z czasem naprawdę zimno i me ciało, które pokrywa gęsia skórka, przechodzą lodowate dreszcze. Ale ulegle to wytrzymuję, do momentu aż moje plecy zrasza obficie męskie nasienie.

Wówczas klękam, a jednocześnie zauważam w pobliżu za drzewem jakiś ruch. Nerwowo wyostrzam wzrok, ale zaraz się uspokajam. Z pewnej odległości obserwuje nas Ravel. Więc już o nas wie. A skoro tak, nie będę zwlekać z przekazaniem mu kolejnej nowiny. Otóż ponownie stanowimy grupę i jedna osoba powinna objąć nad nami przywództwo. Ja zaś już podjęłam decyzję, iż tą osobą będzie Exon, mój bliski kompan i obecny kochanek.



VII. UZDROWICIEL

Wraz z nastaniem ożywczego świtu we trójkę spożywamy skromny posiłek. To wypatroszone przez Ravela czarne ptaki, które zeszłej nocy zdążyłam jeszcze upolować. Są trochę łykowate i nieco gorzkawe w smaku. Jednak nikt z nas nie śmie nawet trochę wybrzydzać. Wszyscy w Otchłani swego czasu już doświadczyliśmy prawdziwego głodu i dlatego teraz tym bardziej doceniamy jakiegokolwiek pożywienie.

Jemy w ciszy. Aż kiedy nasz skromny posiłek dobiega końca wraz z ostatnimi obgryzanymi do cna kośćmi ptaków, wskazuję Exonowi na chorą nogę Ravela. Zgodnie z moimi oczekiwaniami mężczyzna z królestwa Saladior wspomina o pewnym uzdrowicielu, którego sam osobiście nie poznał, ale wie, gdzie udawały się do niego amazonki z Legionu Śmierci. Z kolei mężczyzna z chanatu Precis wyjawia nam, że być może będzie w stanie zapłacić za własne leczenie. Bowiem obwieszcza, iż zanim pojмали go Jeźdźcy Majanu, on sam wszedł w posiadanie złotego pucharu, który zdążył skrzętnie ukryć.

I szybko jesteśmy zgodni, że najpierw udamy się po owe złote naczynie mające być w przyszłości formą zapłaty. Lecz zanim wyruszymy, rozstrzygamy między nami jedną z kluczowych kwestii. Gdy Ravel wstaje na nogi i wskazuje kierunek, gdzie powinniśmy podążać do znanej mu kryjówki, głos zabiera Exon. Oświadcza on zdecydowanie, że mężczyzna z Precis może pokazać kierunek drogi, ale o samym wyruszeniu i dalszych krokach nie on będzie decydował i nie on będzie przewodził.

Po tych słowach ja sama kładę ręką Exona na mojej głowie – to akt poddania i nader wyraźny przekaz. Mężczyzna z Saladior głaska mnie w podzięcie za udzielone poparcie, a Ravel wzrusza bezradnie ramionami i także kiwa głową na zgodę. Widać po nim, że bez Viri oraz w swoim obecnym stanie nie stać go na dawną zadrzotność i pyszałkowatość.

Już wkrótce Exon wydaje polecenie, żebyśmy zajęli miejsca na koniach i pierwsza ochoczo wskakuję na rumaka. Wiążę dokładnie chustę na włosach, aby nie targał mini mocny wiatr i zaciągam się ochoczo rześkim powietrzem chłodnego poranka. Następnie uśmiecham się. To, że nie muszę dowodzić, przyjmuję doprawdy, jako wielką ulgę. Czuję się tym wręcz uskrzydłona, zdjęciem z moich barków odpowiedzialności i wiem, że w podzięcie z radością wykonam każde polecenie Exona.

Razem z nim jedziemy konno koło siebie, a w pewnej odległości za nami ciągnie się pośepnie Ravel. Co jakiś czas mężczyzna z Salador spogląda na niego, a wówczas ten koryguje dotychczasową drogę nieustannie wiodącą pomiędzy leśnymi ustępami. Jednak drzewa nie rosną tu zbyt gęsto, a pomiędzy nimi są tylko nieliczne krzewy, dzięki czemu zalesioną przestrzeń pokonujemy bez większych przeszkód.

Do celu docieramy jeszcze tego samego dnia tuż przed zmierzchem. Nad brzegiem sporych rozmiarów rzeki Ravel podchodzi do jednego z kamieni i kopie rękoma w miękkim piasku z zewnątrz obmywanym rzeczną wodą.

I naraz z płytkiego wykopu wyciąga na pierwszy rzut oka naprawdę cenną rzecz, która z lekka połyskuje swą dokładnie wypolerowaną powierzchnią. To zdobny kielich, który wędruje do rąk Exona. Ten ogląda go dokładnie, jakby szacował wartość i czyni to w dużym skupieniu.

Z kolei kiedy Ravelowi wydaje się, że nikt na niego nie spogląda, z niewielkiego dołka wyciąga jeszcze podłużny rulon, po czym szybko wsuwa go sobie za pasek od spodni i dyskretnie zasłania koszulą. Jednak kątem oka dostrzegam jego niecny wybieg.

Podchodzę do niego i bezceremonialnie wyrywam mu tajemniczy przedmiot zza paska. Jednocześnie z surowym wyrazem twarzy karzę Ravela, uderzając otwartą dłoń w twarz i usłużnie oddaję zdobycz Exonowi. Ten patrzy na mnie z aprobatą, a ja przyjmuję to z uśmiechem na ustach. Następnie mężczyzna z królestwa Salador rozwija rulon i zachęca mnie, abym także mu się przyjrzała. I nie trzeba być zbyt byстрыm, by się zorientować, iż Ravel chciał ukryć przed nami mapę stanowiącą tatuaż na skórze.

– Nie chę wiedzieć czyja to skóra i w jaki sposób wszedłeś w posiadanie tej mapy – oznajmia cierpko do Ravela Exon. Ja zaś wspieram go,

obrzucając mężczyznę z Precis srogim spojrzeniem. Natomiast nasz przywódca już łagodniej dodaje: – Niemniej jeżeli szczęście dalej będzie nam sprzyjać, wówczas ten kawałek skóry może się okazać bezcenny. Teraz jednak koncentrujemy się na wyleczeniu twojej niedomagającej stopy, to jest naszym priorytetem. I w zamian za pomoc oczekuję tylko jednego, mianowicie lojalności, za to bezwzględnej. – W odpowiedzi Ravel uderza się w piersi w przepaszającym geście i nisko pochyla głowę... – Dobrze... – mruczy Exon. – Pokaż więc, że będziesz przydatny dla naszej grupy. Zatrzymamy się tu na nocne obozowisko, a ty nazbieraj drwa na opał. Potem spróbuj złapać w rzece jakąś rybę, raki albo żaby. Cokolwiek, co pozwoli nam napełnić puste żołądki.

Ravel bierze się usłużnie do zleconej mu pracy. Z kolei ja z Exonem siadamy na ziemi i dalej analizujemy to, co przedstawia mapa. Lokalizujemy na niej nasze położenie względem zaznaczonych na skórze oznaczeń. Wspólnie dochodzimy do wniosku, że mapa, w której posiadanie szczęśliwie wchodzimy, może nam posłużyć do bardziej przemyślanego poruszania się po terytorium Otchłani.

Niebawem płonie już koło nas wzniecone przez Ravela ognisko, a on sam wchodzi po kolana do wody w poszukiwaniu wodnych stworzeń. W oczekiwaniu na coś zdatnego do jedzenia Exon gładzi mnie po włosach, policzku, całuje w usta i powoli rozbiera do naga. Sama pomagam zdjąć ubranie mojemu mężczyźnie i niezrażeni obecnością Ravela, zespaliśmy się w pozycji lotosu, kochając ogrzewani krwistymi językami ognia.

Mężczyzna z Precis kilka razy zerka ku nam ukradkiem, ale za każdym razem zmieszany szybko odwraca głowę. Exon to widzi i nakazuje mi stanąć na czworakach twarzą w stronę naszego kompana. Czynię to, a wtedy w nowej, miłosnej pozycji mój kochanek zwraca się władczo do Ravela, aby ten podał mu bukłak wody. Przygarbiony mężczyzna z Precis wykonuje polecenie. Ale Exon nie bierze podarku, tylko stwierdza, że jego kobieta, czyli ja sama, jestem aż nadto rozgrzana i każe zrosić zimną wodą moje pośladki. Zostają one nagle zmoczone, a ja odruchowo naprężam je z całych sił. Wówczas nasz przywódca, pojękując z rozkoszą, zaznacza, iż tylko on ma do mnie prawo, a inni mogą sobie jedynie popatrzeć i pozazdrościć. Lecz jeżeli Ravel będzie mu wierny, to w przyszłości może

znajdzie mu jakąś kobietą, ponieważ bez takowej prawdziwy mężczyzna nie istnieje. Chwyta mnie mocno za kark i pierś.

Dostrzegam, że mój kochanek prowokuje stojącego z boku mężczyznę, który naraz kurczowo zaciska swe pięści. Jednak zaraz je rozluźnia i ze spuszczoną pokornie głową powraca do rzeki.

Osobiście w duchu przyzwalam na to, co robi mój partner. Tak jest mi łatwiej, uznać, że teraz to Exon jest naszym jedynym przywódcą, więc ma prawo wystawiać Ravela na próbę i trzymać go krótko. Również ma prawo do mnie.

W końcu całkiem zaspokajam kochanka i niebawem powraca do nas mężczyzna z chanatu Precis z kilkunastoma okazałymi rękami. Wrzuca je na skraj ogniska i jeszcze żywe skorupiaki dosięgają gorące płomienie. Obserwuję daremnie walczące o życie istoty, jak rozpaczliwie brną w rozżarzonych drzewcach, aż zastygają w bezruchu, a ich ciała ciemnieją.

Następnie Exon zagarnia wszystkie raki do siebie i po kolei je ze smakiem. Z Ravelem przyglądamy mu się z prawdziwą zazdrością, a każdemu z nas dosłownie cieknie na widok jedzenia ślinka.

Aż nasz przywódca wspaniałomyślnie wyciąga ku mnie otwartą dłoń z upieczonym rakiem. Jestem tak złąkniona, że jem mężczyźnie prosto z ręki, całując przy okazji i oblizując jego place. Szczęśliwie uroczona zostaję kolejnymi skorupiakami, a ich resztki Exon rzuca na trawę Ravelowi. On zaś dziękuje, kłaniając się czołobitnie i wgryza się w odnóża i skorupy schwytych uprzednio stworzeń.

Tej nocy kładę się na spoczynek tuż przy naszym przywódcy, by zaraz całować jego tors i powoli schodzić coraz niżej. On jednak oświadcza, że w tej chwili nie oczekuje tego ode mnie i ma już dość cielesnej miłości. Za to przyciąga mnie plecami do swego tułowia, mocno oplata ramionami i w tej pozycji daje nam razem usnąć.

W męskim objęciu doświadczam poczucia bezpieczeństwa, a jednocześnie uzmysławiam sobie, iż jest tak inaczej niż z Avesem. Z tamtym mężczyzną byłam raczej z nim, podczas gdy w przypadku Exona, myślę, że bardziej należę do niego.

Dociera do mnie wszak coś jeszcze zupełnie nowego. Od zawsze w swoim otoczeniu dążyłam do wspólnoty z innymi istotami zasadzającej się na bazie równości, harmonii, tak bowiem zostałam wychowana. Lecz teraz, wyrzekając się przywództwa i bezpośredniego, sprawczego wpływu na innych, doświadczam odmiennej relacji między ludźmi, takiej, która w pewnym zakresie przywodzi tę ze szkoły Artusa.

Exon jest silnym przywódcą i daje temu wyraz, bezwzględnie wskazując Ravelowi miejsce w szyku. Ja jestem jego kochanką, a przez to bliską osobą i dzięki temu czuję, iż mogę liczyć na specjalne względy. Choć nie jestem pewna czy oddaję się Exonowi, jako jego obecna partnerka, czy raczej niczym samica niższa rangą w hierarchii stada. Tak czy inaczej, wzmagają to we mnie dwojakie uczucia. Z jednej strony pragnę się przypodobać przywódcy, aby jeszcze więcej zyskać w jego oczach. Z drugiej zaś strony taka postawa skłania mnie do poniewierania Ravelem. Ponieważ to stawia mnie wyżej od niego i pozwala liczyć na profity ze strony Exona. I z pewnym niedowierzaniem odkrywam w sobie, iż może nie w pełni, ale akceptuję ten stan. Zasypiając, mocniej wtulam się w muskularny tors naszego przywódcy, aby tym silniej poczuć jego ochronę.

*

Na ten czas posiadamy mapę znacznej części Otchłani. Dzięki temu wiemy, gdzie się znajdujemy i pewnie zmierzamy do owianego aurą tajemniczości uzdrowiciela. Musimy się coraz bardziej spieszyć, bowiem z nogą Ravela jest już naprawdę źle.

Dłuższy czas kierujemy się konno wzdłuż rzeki, jedynie z rzadka napotykać jakieś obce istoty, które jednak szybko przed nami pierzchają. Choć jedna z nich nie zdążyła i ugodzona moją strzałą prosto w szyję służy nam za kolejny, tym razem całkiem sycący posiłek.

Jest to niespotykane zwierzę o owalnym kształcie i z szarą łuską, a do tego długim, świńskim ryjem. I chociaż jego wygląd nie jest zbyt zachęcający, to pieczone mięso okazuje się nad wyraz delikatne i tłuste. A co najważniejsze, ze względu na gabaryty tego osobnika, wreszcie mamy jadła pod dostatkiem. Porządnie najedzeni kontynuujemy podróż w lepszych nastrojach i jakby z pewną nadzieją na dalsze sukcesy.

Tak oto stajemy konno u celu, czyli przed warownią usytuowaną u podnóża góry i zbudowaną z drewnianych pali oraz ciężkich skał. Brama przed nami jest zamknięta i nikt nie raczy zareagować na donośne nawoływanie Exona. Przełom następuje, dopiero gdy nasz przywódca wyjmuje z torby złoty puchar i macha nim zachęcająco.

Wtedy podwójna, drewniana brama się otwiera, a my wjeżdżamy do środka. Wewnątrz trafiamy na plac ubity z twardej ziemi otoczony niskimi drewnianymi zabudowaniami. Lecz nikt nie wychodzi nam naprzeciw. Dlatego zeskakujemy z rumaków i mając w pogotowiu oręż, czekamy.

Aż w pewnym momencie z lichych chatek oraz zza nich samych, wychylają się ku nam ciekawskie głowy, a potem całe oblicza nowych nieznanym mi postaci. Są bardzo niskie, a na ich twarzach zauważam nietypowe, długie, szpiczaste nosy i analogicznych gabarytów uszy. Oczy posiadają wielkie i okrągłe, a usta wąskie, z których sterczą po dwa długie kły. Niektóre z tych postaci są łyse, a głowy innych zdobią pióropusze z szarych, brązowych i czarnych piór, a także zdaje się ludzkich włosów. Dodatkowo większość osobników ma zdobne naszyjniki z kłów i pazurów.

– To Isikowie, takim mianem określały ich amazonki – oświadcza do nas Exon i ściszym głosem dodaje: – Uważajcie na nich. – Sam kładzie na ziemi złoty puchar, po czym wymownie podnosi do góry puste dłonie.

Z tą chwilą jeden z pokurczów uzbrojony we włócznię rzuca się szaleńczo wprost na naszego przywódcę. Bez namysłu czynię wypad do przodu, jednocześnie wyjmując dwa miecze z pochew. Mijam się z atakującym przeciwnikiem i zastygam w miejscu. Podczas gdy włócznik, jak rażony piorunem pada na piach z rozciętym gardłem i rozoranym brzuchem.

Tak, zadaję doprawdy błyskawiczne ciosy, czego efektem jest świeży trup za moimi plecami, a wokół nagle wzbudzone zostają pełne podziwu i trwogi skowoty pozostałych pokracznych istot.

– Wynośmy się stąd, byle szybko... – słyszę za sobą pełen obawy głos Ravela. Ale Exon całkiem ignoruje te strachliwe słowa i wprost do mnie oświadcza:

– Dobra robota. Teraz może te maskary nareszcie nabiorą należnego respektu...

Nasz przywódca prawidłowo diagnozuje sytuację, ponieważ kolejny Isik kroczy ku nam ostrożnie i zachowawczo przygarbiony. Obchodzi mnie szerokim łukiem i zatrzymuje się koło świecącego w lekkim słońcu naczynia. Lecz kiedy wyciąga dłoń po puchar, pierwszy udanie czyni to Exon. W reakcji na ten ruch istota obnaża wściekle kły, a dookoła słychać złowrogie pohukiwania.

– Spokojnie, spokojnie! – przemawia na to gromko mężczyzna z królestwa Saladior, po czym wskazuje na trzymane naczynie i kontynuuje: – Mamy dla was ten oto dar, złoty puchar. Pragniemy jednak wdzięczności w postaci wyleczenia naszego kompana. – Dotyka okaleczonej nogi Ravela. Na co przygarbiony Isik podchodzi do mężczyzny z Precis, pochyła się jeszcze bardziej i węża jego stopę swoim długim nosem. A zaraz krzywi się paskudnie na twarzy i ucieka pomiędzy drewniane zabudowania.

Wobec takiego obrotu sprawy Exon rozkłada bezradnie ręce, gdy naraz dobiega nas chrzęst łańcuchów. I oto ukazuje się nam nie kto inny, jak spętany kajdanami i żelazną obrozą Gabu prowadzony przez kilkanaście pokurczy.

W pierwszym momencie grubas wpatruje się w nas zupełnie osłupiały, a zaraz rzuca się ku nam z otwartymi ramionami. Na co jego ciemńyciele reagują, ciągnąc go z całych sił za łańcuch, opluwają żółtą flegmą i chłozczą batami. Do tego posyłają ku niemu gniewne pomruki. Dlatego Gabu daje za wygraną i dalej kroczy wolno, pokornie prowadzony prosto do Ravela. Na miejscu przygląda się jego okaleczonej kończynie i smutno oznajmia:

– To cud, że żyjecie i odnaleźliśmy się nawzajem... Zaprawdę to wielkie szczęście widzieć was żywymi. Naprawdę nie wiecie jak wielkie... Ale... – zawiesza głos – w ranę wdała się zaraz śmierci... wygląda to paskudnie...

– Stracę nogę czy życie...? – pyta niemal martwym głosem Ravel.

– To zależy... – Gabu drapie się w zadumie po głowie, na której widać wiele zasklepionych strupów.

– Od czego zależy? – podchwytuje Exon, także wielce zaskoczony napotkaniem tu naszego kompana. Zaś obecny znachor Isików wyjaśnia:

– Tutejsze, dziwne plemię, które mnie schwytało, najpierw trzymało mnie w zamknięciu, w jamie, gdzie przetrzymywane są ich wszelkie

zdobycze, również wszelaki sprzęt. Natrafiłem tam między innymi na pradawną księgę medyczną napisaną językiem z zamorskich krain, który po części rozumiem. Są tam przepisy, bardzo niezwykle przepisy lecznicze i nieraz niosące ze sobą wielką uzdrawiającą moc. Jednakże wiele z wymaganych składników jest bardzo drogich lub trudnodostępnych do pozyskania.

– Nie dbamy o trudności – oznajmia na to hardo Exon. – Daj nam odpowiednie wskazówki, abyś mógł całkowicie wyleczyć Ravela. A gdy to uczynisz, pomożemy i tobie, uwolnimy cię, obiecuję.

– Ponoć... ponoć wszystko ma swoją cenę... – Uśmiecha się kwaśno Gabu i skonfundowany miętosi w serdelkowatych palcach swój brudny, brązowy worek, który obecnie zastępuje mu ubranie. Myśli dłuższy czas, a następnie oświadcza:

– Jeżeli dacie mi mapę okolic, nakłonię Isików, by wskazali wam na niej miejsce, gdzie u tajemniczej handlarki zaopatrują się w składniki lecznicze, abym mógł dla nich uzdrawiać inne istoty. Podam wam też listę produktów. Takich, których będę potrzebował do uleczenia Ravela oraz innych specyfików, za które wykupicie, jak mniemam, i moją osobę... Co wy na to...? – Gabu zastyga z pełnym nadziei niewinnym, jak u dziecka uśmiechem na twarzy i wpatruje się właśnie we mnie. Jednak obecnie to nie ja podejmuję decyzje, dlatego cofam się, aby z przodu pozostał tylko Exon. On zaś spogląda na mnie ze zrozumieniem i satysfakcją, po czym oznajmia z powagą do Gabu:

– Wypełnimy wszystko, co tylko możliwe, abyśmy znowu stanowili jedną drużynę, tym razem monolit, a potem wspólnie opuścimy tę przeklętą krainę. Oto zaś mapa, gdzie należy nanieść odpowiednie znaczki. – Mężczyzna z królestwa Saladior wyjmuje zza pasa wytatuowany kawałek ludzkiej skóry, ale jednocześnie stawia warunek: – Aczkolwiek Ravel musi tu zostać pod twoją opieką. W swoim pogarszającym się stanie nawet nie ma mowy, aby z nami wyruszył.



VIII. HANDLARKA

Isikowie przystają na to, żeby nasz ranny kompan pozostał pod kuratelą Gabu. Natomiast ten ostatni dyskretnie przekazuje nam, że jeżeli nie powrócimy dość szybko bądź stan Ravela się znacząco pogorszy, wówczas ten mężczyzna zostanie przez tubylców zjedzony. Nie są to zbyt krzepiące wieści, ale w tej okrutnej krainie, Otchłani, nie dziwią nas takie słowa i zapowiedzi.

Tymczasem zgodnie z nowymi znacznikami naniesionymi na mapę, do poszukiwanej handlarki mamy jakieś pięć dni drogi konno. Oczywiście, jeśli nie wydarzą się żadne nieprzewidziane okoliczności. Początkowo jednak szczęście nam sprzyja, a gdy napotykamy zbrojne bandy, z uwagi, że te są piesze, udaje się nam czmychać na naszych rumakach.

Wieczory spędzamy na polowaniu na tutejszą zwierzynę. Zaś w nocy biwakujemy z dala od głównych traktów, poprzedzając sen jedynym posiłkiem w ciągu dnia. Czasem też Kocham się z Exonem.

Po jednym z takich upojnych zbliżeń leżymy razem nadzy i wtuleni w siebie oraz przykryci futrem, które należało kiedyś do barbarzyńcy. Mój przywódca gładzi mnie z wolna po skórze na mym łonie i łagodnie do mnie przemawia:

– Jeżeli zastanawiałaś się, dlaczego tak zdecydowanie stanąłem po stronie Ravela, aby został uleczony, wyjaśnię ci... – Kiwam na zachętę głową. – Otóż... jak wiesz pochodzę z władztwa Saladior. I chociaż jestem nisko urodzony, to tamtejsze rycerskie idee zawsze były memu sercu niezmiernie bliskie. Zupełnie, jak ty teraz jesteś mi bliska... – Leżąc za mną, całuje mnie w plecy. – Więc to honor, przewodnia idea z królestwa, nakazuje mi zrobić wszystko, co mogę, aby wspomóc naszych kompanów. Są w naszej drużynie, należą do nas, także Gabu. I dlatego nie spocznę, dopóki wszyscy nie będą znowu wolni i razem z nami. Potem zaś... –

Gładzi mnie po włosach... – Udamy się wspólnie, aby odnaleźć skarb zaznaczony na mapie. Wierzę, że nam się uda i będziemy bogaci, a wówczas w glorii tego bogactwa powrócimy zwycięsko do serca Pendorum. Pojedziesz ze mną do królestwa Saladior, a ja... wezmę cię za żonę... – Na tę niezwykłą zapowiedź, niczym prawdziwe oświadczyły, przekręcam się w ramionach Exona przodem do niego. On zaś składa dłoń na moim łonie i z uczuciem dodaje: – Za kosztowności ze skarbu kupimy wspaniały dom z wieloma pokojami i będziemy mieć wiele dzieci. – Te słowa mego kochanka mocno trafiają do mej wyobraźni. Patrzę mu uważnie w oczy, zastanawiając się, jak odnalazłabym się w takiej roli, kobiety oraz matki liczego potomstwa. I naraz moje zwykle poważne oblicze rozjaśnia łagodny i ciepły uśmiech. Myślę o macierzyństwie, o tym, że mogłabym odłożyć oręż i przestać zabijać, a w to miejsce sprowadzać na świat nowe życie. I raptem znowu chce się kochać z Exonem, ale nie tak, jak zazwyczaj. Zupełnie nie wiem czemu, wspomnianego, naszego wspólnego dziecka, pragnę jak najszybciej, pragnę je począć już teraz.

Całuję namiętnie mężczyznę i pieścę dłońmi, a nawet gryzę w ramiona, prowokując do zbliżenia. Lecz on studzi mój zapał, odpychając mnie lekko i zdecydowanie oznajmia:

– Najpierw skarb, potem Srebrzyste Góry. I dopiero wtedy spłodzimy pierwszego potomka.

Z pewnym trudem, ale zbieram się w sobie i daję za wygraną.

*

Kolejna osada, do której docieramy, usytuowana jest w gęstym lesie. Wejścia do niej strzeże wysoka palisada i ciężka brama zbudowana z poziomo pozbijanych kłód drewna. Jednak wraz z naszym przyjazdem przejście zostaje otwarte, zupełnie jakby ktoś się nas tutaj spodziewał.

Tym razem wewnątrz widzimy drewniane zabudowania przywodzące na myśl bardziej tradycyjne domy, co odpowiednio koresponduje z ich mieszkańcami, czyli ludźmi. Jest ich tu całkiem sporo i nie widać innych istot. Przyglądają się nam z zaciekawieniem, ale nie zatrzymują ani nie zagadują. My z kolei poruszamy się dalej, aż trafiamy w miejsce, którego wygląd bardzo źle mi się kojarzy.

To drewniany podest z licznymi pionowymi palami, na których wiszą kajdany oraz łańcuchy. Znajduje się tu również kilku skutych ludzi, mężczyzn oraz kobiet. I naraz już wiem, gdzie trafiamy – to osada łowców niewolników, my natomiast jesteśmy najwyraźniej brani za domniemanych kupców.

Jednakże z Exonem oczywiście nie przyjeżdżamy tu, aby dokonać ludzkiego zakupu. Mamy za zadanie odszukać kobietę odpowiedzialną za handel medykamentami z plemieniem Isików.

W tym celu mój partner zagaduje jednego z ubranych na czerwono mężczyzn. Ten wskazuje mu leniwie postać odwróconą do nas plecami i zasiadającą za stołem w pobliżu podestu dla niewolników. Z tej, dość znaczącej odległości, można odnieść wrażenie, że przelicza ona pieniądze.

Udajemy się do niej i już niebawem oboje nie możemy wyjść z wielkiego zdumienia. W kobiecie tej odkrywamy bowiem właściwie jeszcze dziewczynę, a jest nią sama Adora. Kiedy nas rozpoznaje, górna warga zaczyna jej z lekka drgać, ale poza tym nie wykonuje ona żadnego gestu ani nie wypowiada ni słowa. Przedłużając się ciszę przerywa Exon. A wraz z roztaczaniem przed dziewczyną z Saladior nowych rewelacji na temat naszej drużyny, jej warga drga coraz szybciej. Aż Adora dostaje niemal spazmów, dowiadując się, że Gabu wciąż żyje i czeka na ratunek w niewoli.

Potem sama dzieli się z nami rewelacjami na temat własnego położenia. Oznajmia, że została pojmana przez łowców niewolników. Następnie sprawy potoczyły się dla niej nadspodziewanie pomyślnie. Swojemu nabywcy wyjawiała, że żadna z niej nałożnica czy chłopka do pracy w polu, za to jest biegła w liczeniu, rachunkach i ogólnie zna się na handlu. Tą drogą przydzielono ją do udziału w zawieraniu transakcji żywym i nie tylko żywym towarem. Z czasem zaczęła sprawować pieczę nad całością rachunków swego pana i cieszyć się w osadzie łowców niewolników całkiem dużą swobodą.

Ten ostatni aspekt znacząco ułatwia nam zadanie. Ponieważ dzięki niemu, pod osłoną nocy, Adora opuszcza się na linie z palisady i dołącza do nas, skrytych pomiędzy drzewami. Biorę ją na swego rumaka, po czym razem uciekamy przez las ku kolejnemu celowi.

Zgodnie z sugestiami dziewczyny z Saladior musimy odwiedzić szamanę z Krwawej Pustyni. Adora gwarantuje nam, że za posiadane przez wspomnianą osobę medykamenty i inne cenne przedmioty lecznicze, bez trudu wyleczymy Ravela, jak i wykupimy Gabu. Jednocześnie pyzata dziewczyna nie pozostawia nam złudzeń. Czas nagli i nie będziemy go już mieli ani trochę, aby wchodzić w jakiegokolwiek nowe konszachty. Musimy więc przygotować się na bezwzględną walkę z przebiegłym i nieprzewidywalnym wrogiem.

Przyjmujemy te słowa ze spokojem. W końcu walkę mamy niemal we krwi i z jakim przeciwnikiem nie przysłoby nam się zmierzyć, nie będziemy się lękać, aby skrzyżować z nim oręż. W końcu jesteśmy weteranami areny – my gladiatorzy oraz gladiatrix.



IX. ŻYWICIELKA ŻYWICZEJ KRWI

Po czterech dniach konnej podróży docieramy na skraj bezkresnej pustyni naznaczonej jedynie złocistym piaskiem. W tym miejscu przywiązujemy rumaki, każdego do innego, zeschniętego drzewa i dalej podążamy na piechotę. Idziemy w jednej linii kolejno Exon, ja sama, a na końcu Adora z kuszą przewieszoną przez plecy.

Zgodnie z zapowiedzią dziewczyny z Saladior o pół dnia marszu stąd znajduje się miejsce bytności szamanki. Choć interesy z nią, w jakich pośredniczyła Adora, zawsze dokonywane były ponoć w pół drogi, a wspomniana tajemnicza postać z pustyni nigdy bezpośrednio nie uczestniczyła w spotkaniach.

Po dłuższej marszrucie płaski dotąd teren ulega wypiętrzeniu, ale nadal znaczy go wyłącznie złoty piasek i to zarówno pod naszymi stopami, jak i na dalekim widnokręgu.

Aż po wspięciu się na jedną z piaskowych gór dostrzegamy na horyzoncie coś nowego. I zaraz zdajemy sobie sprawę, że w tej okolicy jest to prawdziwa niezwykłość, jakby wyrastające z serca pustyni potężne drzewo.

Przyspieszamy kroku w tym właśnie kierunku, posiadając obecnie zdecydowany punkt orientacyjny. Jednak najwyraźniej w tym momencie także my sami przykuwamy uwagę istot zamieszkujących to niedostępne miejsce.

Oto z dwóch naszych stron piasek, jakby się naraz zapada, a następnie wyrzusza, po czym na jego powierzchnię wydostają się masy krwistego mięsa, w którym można wyróżnić zmieszane ze sobą korpusy, ręce i nogi. Wszak, wydawałoby się, bez kości, przez co te dziwne twory przypominają sobą krwawe meduzy. Z kolei ich odrażający wygląd jednoznacznie sugeruje, że nie są to pokojowo nastawione istoty.

Wobec zaistnienia na naszej drodze domniemanych przeciwników, Exon się zatrzymuje i odwraca do mnie. Wymieniamy porozumiewawcze spojrzenia i uzbrajamy w stalowy oręż, zaś Adora drżącymi dłońmi nakłada bełt na kuszę.

I nagle bez pozwolenia posyła ona pocisk w najbliższy z meduzowatych tworów. W efekcie bełt przesywa maskarę na wylot, nie czyniąc jej żadnej znaczącej krzywdy i z płatem wyrwanego z cielska mięsa, szybuje dalej.

Z kolei pozostałe potwory łączą się ze sobą korpusami w dziwolągi o wielu dłoniach i rękach, to znowu dzielą na części. Lecz od tej chwili nieustannie suną w naszą stronę i zaczynają coraz ciasniej otaczać.

Nie ma już czasu na szacowanie zdolności bojowej przeciwników czy jakieś wybiegi. Z Exonem pozostawiamy w centrum zrezygnowaną Adorę i rzucamy się w wir walki z naprawdę niezwykłym wrogiem.

Szatkuje dwoma mieczami ruchliwe mięso, wystrzeliwując w powietrze całe fontanny krwi. Jednakże z niechęcią zauważam, że oddzielane od reszty cielska elementy, na powrót łączą się z całością. Rozcinane korpusy scalają się ze sobą, a rozczłonkowane nogi i ręce powracają do tułowia w dowolnej jego części. Równocześnie moje miecze wchodzą w ciało tego czegoś z niezwykłą wręcz łatwością. Wniosek jest z tego tylko jeden – te monstra naprawdę nie posiadają w sobie kości.

Spoglądam z ukosa na Exona, aby zobaczyć czy radzi sobie lepiej i być może odnajduje skuteczną technikę walki z regenerującym się przeciwnikiem. Lecz wojownik tak samo nieustannie rozwarstwia krwawe ciało, które na powrót się zasklepia. Natomiast nogi tego czegoś, powykręcane pod dziwnymi kątami, cały czas niezdarnie kroczą ku nam. Podobnie ręce wyciągane są w naszym kierunku.

Coraz bardziej gorączkowo zastanawiam się, jak w ogóle można pokonać, wydawałoby się wręcz nieśmiertelnego wroga bez kości. Gdy nagle słońce nieśmiało wyziera zza chmur i z tą chwilą potworna mięsna breja, jakby ulega porażeniu i sama się cofa, by zaraz zniknąć pod piaskową powłoką.

Od wysiłku ciężko i z trudem nabieram suchego powietrza do płuc, patrząc dziękczynnie w niebo i podziwiając złote, najwyraźniej ratujące

nas, słoneczne promienie. I raptem przechodzi mnie dreszcz niepokoju. Uświadamiam sobie bowiem, że już nie pamiętam, kiedy ostatnio i czy w ogóle, doświadczałam w Otchłani bezchmurnego nieba. A skoro tak, to niewątpliwie zaraz znowu nastanie półmrok, za sprawą całunu z grubych chmur, które obecnie sprawiają wrażenie, jakby walczyły ze słońcem, aby ponownie odebrać mu miejsce na niebiańskim firmamencie.

Spoglądam na Exona i widzę, że wsparty na wbitym w piasek mieczu także patrzy w górę i minę ma wielce zafrapowaną.

– Wracajmy... – rzuca naraz lękliwie Adora. – Wracajmy! – dodaje wręcz rozpaczliwie. Nasz przywódca przenosi na nią wrzok, potem na mnie i grobowym tonem oznajmia:

– Nie możemy zawrócić. W imię honoru i wbrew wszystkiemu innemu musimy podążać naprzód...

– To znaczy na śmierć! – krzyczy żałośnie Adora. Zarzuca sobie kuszę na plecy i samotnie biegnie w powrotną drogę.

– Słońce zaraz schowa się za chmurami, nie traćmy czasu – oświadcza z kolei hardo Exon i kieruje się ku drzewu górującemu w oddali.

Zaraz jestem przy moim partnerze i tym razem kroczymy po piasku ramię w ramię. I nie zastanawiam się, dlaczego wybieram niemal pewną śmierć u boku dumnego mężczyzny z Saladior, a nie preferuję ucieczkę z dziewczyną z tegoż królestwa. Z mojej strony to odruch, zwyczajnie reaguję. Nie myślę, tylko działam, jak przystało na zaprawioną w boju gladiatrix.

A już niebawem, gdy słońce chowa się za ciężkimi chmurami, nie idę z Exonem, a wspólnie przechodzimy w trucht, bacznie rozglądając się na boki. I szczęśliwie udaje się nam dotrzeć do wielce nietypowego drzewa bez potrzeby ponownej walki.

Jednakże samo drzewo okazuje się nie być zwykłą rośliną, a czymś przywodzącym na myśl żyjącą istotę. Jest po prostu olbrzymie, a jego liczne konary przypominają ramiona, zaś pomniejsze gałęzie są niczym palce zwieńczone szponami. Z kolei liście układają się na kształt szarej łuski. W samym pniu można odnaleźć wybrzuszenia, coś jak rzędy wystających żeber. Natomiast od ziemi, na wysokość dwóch dorosłych ludzi, odchodzi podłużne rozwarstwienie w pniu, które można by brać za

usta. Do tego całość porusza się w dość nieskoordynowany sposób, jakby pełen niepokoju i bynajmniej nie jest to ruch spowodowany zawirowaniami wiatru. Ten ostatni nagle całkowicie ustaje.

Dla odmiany poruszać się zaczyna piach wokół nas i tym razem także powstają z niego tajemnicze istoty, które nie wiedzieć na ile są żywe czy martwe. Obecnie są to same kości pozbawione mięsa, skóry i wnętrzności. Oto stają przed nami człekokształtne szkielety, ale też należące do zwierząt jak koni, lwów oraz niedźwiedzi, a nawet xeratoksów.

Spoglądam na naszych nowych przeciwników i wspominając ostatnią walkę, już się domyślam, że bitwa ze szkieletami będzie daremna. Utwierdza mnie w tym pierwszy cios mieczem Exona, po którym ludzki szkielet obraca się w górę kości, by zaraz powrócić do uprzedniej postaci jedynie z nienaturalnie wykręconymi od uderzenia żebrami.

W zawiązku w tym jedynej nadziei na zwycięstwo zamierzam poszukać w starciu z innym wrogiem. Jednak najpierw muszę go odnaleźć. Przeto dobywam mieczy i pędem rzucam się w podłużną dziuplę w podstawie drzewa. Ta się porusza, rozszerza, to kurczy, niczym monstrualnych rozmiarów paszcza. Zaś z góry mkną ku mnie gałęzie-ręce zaopatrzone w długie patyki-szpony.

Jest ich tak dużo i tworzą taką gęstwinę, że nie decyduję się na bezpośrednią konfrontację. Wskakuję na grubsze konary i biegnę po nich co sił do góry, co raz smagając ostrzami brązową korę i poszarzałe liście. W efekcie całe drzewo rezonuje skrzypieniem przywodzącym na myśl potępieńcze wycie, a jego liczne ramiona w pogoni za mną płaczą się ze sobą, próbując mnie pochwycić.

Gęstwina z zasupłujących się gałęzi jest coraz bardziej splątana i chaotyczna aż demoniczne drzewo traci dynamikę ruchu. Pozwala mi to zwolnić i ponownie skierować się ku dołowi, gdzie dostrzegam wyraźny wyłom w kierunku dziupli. I aby ją ostatecznie dosięgnąć i zniknąć w jej wnętrzu, wykonuję do niej długi skok, po którym, już śródki drzewa, turlam się po ziemi pokrytej korzeniami.

Szybko podrywam się na nogi w nadziei dostrzeżenia bytującej tu szamanki, której nie omieszkałam natychmiast zabić. Lecz ukazuje mi się coś zgoła odmiennego. Jedyne tu ludzkie postacie, kobiece oraz męskie, są

okaleczone i zwisają głowami do dołu na pnączach, a pod nimi tworzy się na ziemi kałuża krwi. Ponadto u szczytu dziupli dostrzegam coś, co rytmicznie pulsuje i przypomina prawdziwe serce, będące integralną częścią demonicznego drzewa.

A już zaraz korzenie pod moimi stopami zaczynają się poruszać i oplatają moje stopy. Zaś do wnętrza dziupli wpełzają wijące się, niebotycznie długie gałęzie, niczym złowrogie węże. W odpowiedzi błyskawicznie zdejmuję z pleców łuk i posyłam strzały wysoko w sercowy twór. Z każdym skutecznym trafieniem całym drzewem aż wstrząsa i wycofuje ono ode mnie swoje macki w postaci roślinnych odrostów.

Jednak ja nie zamierzam skusić się niemą obietnicą rozejmu w zamian za zaprzestanie walki. Odrzucam łuk i wspinam się jak najszybciej po jednej z lian oraz zwisającym pół-żywym mężczyźnie aż do samego sercowego tworu. Gdy jestem tuż przy nim, dobywam miecze i bez litości dźgam oraz szatkuję bordowy w swej barwie organ drzewa. Wkrótce rozrywam go na strzępy, a poprzeplataną korzeniami ziemię pode mną, zalewa rzeka żywicznej krwi.

Z tą chwilą bicie resztek serca, jakby rozdartego, skórzanego worka, całkowicie zamiera. Podobnie wszystkie inne czynności życiowe niezwykłego drzewa nagle wygasają. Nastaje całkowity bezruch i cisza.

Opuszczam się z powrotem na ziemię i z uśmiechem na ustach witam u wejścia do dziupli Exona. Ten opiera się ciężko o drzewną ścianę, ciężko dyszy, a jednocześnie kręci z niedowierzaniem głową. Aż odwzajemnia mi lekki uśmiech, po czym zastyga z otwartymi ustami z malującym mu się na twarzy niewypowiedzianym zdumieniem.

Wiodę wzrokiem po linii jego spojrzenia i tą drogą napotykam wizerunek jednej z okaleczonych kobiet zwisających na lianach. Przyglądam się tej postaci uważniej, a wtedy przypomina mi się obraz Viri z mojej bezcielesnej podróży w przestrzeni i zaraz mam już pewność. Tak, to ona, znana mi gladiatrix z konfederacji Favere we własnej osobie.

Pochodzę do niej, aby czym prędzej się upewnić, że żyje. Tak, jej klatka piersiowa faluje lekko i rytmicznie. Choć dostrzegam, że ta kobieta ma bardzo liczne rany na ciele, w tym brak małego palca u prawej ręki, a także

odcięte ucho oraz wyłupione oko. Za wszystkich tych okaleczeń ciągle sączy się krew.

Szybko odcinam Virię mieczem od lian i z Exonem układamy ją ostrożnie na ziemi we krwi serca drzewa. Dopiero wtedy otwiera swoje jedyne oko. Na nasz widok niespodziewanie zanosí się piskliwym, histerycznym śmiechem i można by odnieść wrażenie, że oszalała od nadmiaru cierpień.

Jednak, gdy demoniczny wręcz śmiech wreszcie cichnie, jej ciałem wstrząsają liczne skurcze oraz spazmy i zalewa się potokiem łez. Tuli się do mnie, a ja użyczam jej swego ramienia. W tym czasie Exon udaje się na oględziny pozostałej części dziupli i sprawdza stan innych ofiar. Z kolei Viria szepce do mnie pełnym nienawiści i strachu drżącym głosem:

– To coś, drzewo-szamanka... wyjęło z mego łona nienarodzone dziecko, moje oraz Ravela... A potem, gdy odcinało mi ucho, skrzypiało w nie, że wytnie mi wszystko między nogami i zanim skonam obdarta ze skóry, nie będę już kobietą... Czy... czy to się stało...? Czy jestem nią jeszcze... kobietą...?

Viria jest naga, więc jeden rzut oka na jej krocze pozwala mi posłać jej uspokajające spojrzenie i krzepiąco pokiwać na potwierdzenie głową. W odpowiedzi pół-żywa postać na ziemi ponownie zalewa się łzami, aż z zawziętością słabym głosem powarkuje:

– Spalić... To wszystko musimy spalić... Obiecacie mi. Musimy to spalić do cna...

Gładzę ją dłonią po czole i zdaję sobie sprawę, że te jest silnie rozpalone, a więc okaleczoną kobietę trawi wysoka gorączka.

Opuszczam na pewien czas ranną kobietę i udaję się do Exona. Ten odcina od ściany drzewa, jakby skórzane worki wypełnione płynem i układa koło siebie, a jednocześnie do mnie przemawia:

– Wszystko wskazuje na to, że mieliśmy tu do czynienia z jakąś niezwykłą magią. Natomiast szamanka, której poszukiwaliśmy była tym właśnie drzewem, ponieważ nie ma tu żadnej nie zniewolonej istoty. – Pokazuje na ledwo żywych i martwych ludzi, których odciął od lian i kontynuuje: – Co za tym idzie, jeżeli w tym przeklętym przez Bogów miejscu rzeczywiście powstawało coś cennego, muszą to być substancje

umieszczone w tych workach. – Ogniskuje wzrok na odciętych pojemnikach z ciecżą. – To chyba jakaś esencja wytwarzana przez demoniczne drzewo za pomocą pozyskiwanej krwi od ludzi i to właśnie stąd zabierzemy, jako nasz łup – oznajmia. – To znaczy weźmiemy ze sobą też Virię oraz każdego, kto będzie w stanie samodzielnie opuścić to miejsce – poprawia się.

– „Dobrze” – składam razem dłonie.

Ostatecznie nie wypełniamy pragnienia kobiety z konfederacji Favera i nie spalamy, zdawałoby się już martwego drzewa. Pozostawiamy w jego wnętrzu niezdolnych do drogi, okaleczonych ludzi i wyruszamy jedynie z Virią do miejsca, gdzie zostawiliśmy konie oraz spodziewamy się też zastać Adorę.

Szczęśliwie docieramy tam nie niepokojenia ani przez szkielety, ani też mięsno-krwiste meduzy, które najwyraźniej nie mają już kogo bronić. Dziewczyna z Saladior czyni Viri porządne opatrunki na jej ranne ciało, w tym poi ją przyniesionym przez nas krwisto-żywicznym płynem i wykonuje czarną przepaskę na oko. Ponadto decydujemy się spędzić tu dzień albo dwa, by niedomagająca kobieta mogła choć trochę zregenerować siły. Pomni bowiem jesteśmy tego, że wciąż znajdujemy się w Otchłani, przeklętej ziemi, gdzie kolejna śmiertelna konfrontacja może nas czekać dosłownie na każdym kroku. Dlatego musimy być wypoczęci, musimy być stale gotowi.

*

– Więc mój Ravel żyje, tylko gnije mu okaleczona stopa... – odzywa się niemal martwym głosem Viria, gdy jest już noc i zostaje ze mną sama przy ognisku. – Czyli z naszej grupy ocalał każdy poza Kalillą... – Kiwam twierdząco głową, choć kobieta z Favera wcale nie patrzy na mnie i zdaje się mówić, jakby sama do siebie. – Nigdy nie przepadałam za tą arystokratyczną, jasnowłosą suką z Razzinal, co nie znaczy, że życzyłam jej śmierci... No, może trochę... – Uśmiecha się kwaśno, odgarnia swoje czarne włosy i stwierdza: – Śmierci życzyłam przede wszystkim samej sobie, kiedy byłam co raz krojona jak zwierzę przez te przeklęte drzewo... I jeszcze miałam być niczym kurczak obdarta ze skóry i wypatroszona... – Viria milknie i w końcu spogląda na mnie, po czym z pewną drwiną

oznajmia: – Zaś odnośnie do kurczaka i drobiu, moja ty gladiatrix... Jak tam się czuje czerwony, koguci grzebień pomiędzy twymi nogami? Dobrze dogadza mu Exon? Bo Adora już mi wspomniała, że zostałaś jego partnerką. Co więcej zrzekłaś się na rzecz naszego bohatera z Saladior przewodniej roli w naszej wesołej gromadce. – Wytrzymuję spojrzenie Viri, nie wykazując żadnych emocji. Wobec takiej mojej postawy kobieta z Favere wzdusza tylko ramionami i przeprasza oświadczając: – Wybacz mi i nie bierz do siebie tego, co powiedziałam. Wciąż mam w sobie złość i poczucie krzywdy za to, co mnie spotkało, co zostało mi zrobione... – Patrzy na swoją dłoń z brakującym palcem. – I powiem ci, że nie mam już w sobie siły ani ochoty, by wyskakiwać przed szereg. Niech więc rządzi sobie i Exon, mam to gdzieś, bylebyśmy jakimś cudem wyrwali się z tej upiornej krainy... Tak, mam już dość... – podsumowuje smętnym głosem Viria i odwraca się do mnie plecami, nakrywając futrem należącym niegdyś do barbarzyńcy: – Mam dość – powtarza jak echo. – Po prostu dajcie mi wszyscy spokój... dajcie mi spać... – Nastaje dłuższa cisza aż kobieta z konfederacji Favere smutno dodaje: – Dajcie spokój właśnie mi, która wcale nie została pojmana w walce i tą drogą sprzedana na gladiatrix. W niewolę oddali mnie moi ziomkowie, bo mieli mnie dość. Oszukiwałam, knułam i skłócałam przeciw sobie ludzi z mego plemienia. A kiedy przyszło do bitwy z zastępami Terraticos, zdradziłam ludzi z klanu i uciekłam z pola walki... Ja, wielka tarczowniczką z Favere... Ja, czyli tak naprawdę zupełnie nikt... Dajcie mi spać i niech zapomni o mnie cały ten zafajdany świat...

*

Spośród tych wszystkich trudności, których nieustannie doświadczamy, coś w końcu idzie po naszej myśli. Po spokojnym powrocie do warowni Isików jesteśmy bez przeszkód wpuszczeni do środka.

Dajemy się otoczyć grupie zarówno uzbrojonych, jak i bezbronných pokurczy, a one ciekawsko oglądają nasze zdobycze, obmacując je, wachając, a nawet próbują kąsać zębami. Zaś po ich minach widzimy, że żywicza krew w przytaszczonych workach z demonicznego drzewa robi na nich właściwe wrażenie.

Aż wreszcie jeden z Isików, z pióropuszem na głowie z ludzkich włosów różnej barwy, gestykuluje do swych pobratymców i ci przyprowadzają

skutych łańcuchami Gabu, jak i Ravela. Potem ten sam Isik czyni wymowne wskazania dłonią, a ja odczytuję, że zmienia warunki zawartej umowy i sugeruje, że możemy zabrać tylko jednego z naszych kompanów.

– W czymś problem? – rzuca do mnie nieco nerwowo Exon, rozglądając się po nader licznych, potencjalnych przeciwnikach. Sama tłumaczę mu, jak mogę, zaistniałe obecnie okoliczności. Jednak nasz przywódca mnie nie rozumie.

Tymczasem zza naszych pleców wychodzą Viria oraz Adora, po czym ich spojrzenia spotykają się z parą więźniów. Cztery postacie, które były już przekonane, że utraciły siebie nawzajem, teraz wpatrują się w partnerów doprawdy osłupiałe.

Aż raptem Isik w pióropuszu, jakby zniecierpliwiony szarpie za łańcuch Gabu, czyniąc to ku sobie, a popycha ku nam Ravela. Ten ostatni już po chwili jest w objęciach kobiety z Favera i gładzi jej przesłonięty czarną przepaską oczodół, to całuje dłoń w miejscu po małym palcu. Z kolei szarpany bezceremonialnie grubas nie daje się ruszyć z miejsca i spogląda tęsknie za Adorą. W tym momencie Exon już raczy się orientować, jaka jest sytuacja i na cały głos grzmi:

– Macie swoje demoniczne mikstury! My chcemy naszych kompanów! Zaręczam, że nie ruszymy się bez obu!

W odpowiedzi Isik z pióropuszem posykuje zajadle, a w sukurs idą mu jego kamraci. Demonstrują pełne zębów paszcze i wymierzają w nas kiepskiej jakości włócznie. Lecz z powodu ich przytłaczającej ilości, nasz przywódca tonuje emocje i zachowawczo czyni krok do tyłu.

Wydaje się, że jest gotów ustąpić. Gdy nagle Gabu, nie odrywając wzrok od Adory, z wielkim gniewem, jakiego nigdy u niego nie wiedziałam, spuszcza z góry potężną pięść, dosłownie miażdżąc postać swego ciemniźcyela ze zdobnym pióropuszem.

Z tą chwilą podnosi się przeraźliwy wrzask dziesiątków Isików, a nadchodzącej katastrofy nic nie jest już w stanie powstrzymać. Na raptem rozwścieczonego Gabu wskakują liczne pokurcza, a ten odrywa je od siebie i z furią wyrzuca w przestrzeń.

Sama tym razem nie zwracam uwagi na to, co wskaże nasz przywódca, tylko czym prędzej chwytam miecze i biegnę co sił olbrzymiemu

tłuściochowi na odsiecz. Z łatwością paruję ciosy włóczy i siekam raz za razem żalosnych przeciwników ostrzami. Od moich mieczy pada pierwszy z nich, a zaraz drugi, trzeci... dziesiąty i kolejni. Ja zaś nie mam nawet zamiaru zwalniać, a coraz szybciej zabijam!

Kątem oka dostrzegam także walczących Ravela oraz Virię za to nigdzie nie widzę Exona. Odwracam się na moment i zauważam go samotnego i z tyłu, a na jego twarzy wyraz dezaprobaty. Czyżby problem miało stanowić to, że atakujemy bez jego zgody?

W tym momencie, w ogniu walki o dobro Gabu, nie dbam o to! Walczę jak natchniona, podobnie jak wówczas, gdy ratowałam nie tak dawno Virię czy samego Exona. Zabijanie w imię dobra przyjaciół przychodzi mi tak łatwo i daje mi siłę, a używając jej sięję wśród wrogów istne spustoszenie. Aż niebawem nie podejmują już ze mną daremnej walki, tylko rzucają się do panicznej ucieczki.

Wkrótce zostajemy na placu boju sami w towarzystwie kilkudziesięciu karłowatych trupów i konających. Dobijam ich z zimną krwią ciosami przez gardło lub w serce. W tym czasie Gabu wyjmuję z ubrania zmasakrowanego Isika z pióropuszem klucz i zdejmuję kajdany sobie oraz Ravelowi. Wspólnie zabieramy trochę łupów, w tym przytaszczone przez nas worki z demonicznego drzewa i w pełnej gotowości wycofujemy się z osady.

W sporej odległości od warowni Isików, skąd dodatkowo uprowadzamy kilka koni, zakładamy obozowisko i wszyscy dajemy sobie trochę oddechu. Ravel z Virią, początkowo tak podłamani swym losem, teraz demonstrują sobie nawzajem ubytki ciał i we wspólnym towarzystwie, jakby ponownie odżywają. A zaraz układają z patyków tajemnicze znaki, próbując znaleźć dodatkowe pokrzepienie w pradawnych rytuałach.

Gabu z Adorą znajdują sobie ustronne miejsce i w spokojnym zaciszu, przytuleni do siebie, raczą się długą rozmową.

Z kolei trzecią parę stanowią ja z Exonem. Oboje jesteśmy naprawdę zmęczeni kaskadą ostatnich wydarzeń i jako pierwsi, gdy tylko zapada zmierzch, kładziemy się spać.

Nie, tym razem nie ma między nami cielesnej miłości, próby rozmów ani innego kontaktu. Nasz przywódca odpycha mnie od siebie i tej nocy

każe spać samotnie. Daje mi tym samym do zrozumienia, że to kara za niesubordynację w warowni Isików – samowolny atak bez rozkazu.

Przyjmuję to ze spokojem, choć w duchu podejrzewam, że jeżeli w przyszłości dojdzie do podobnej sytuacji, to nie zawaham się postąpić tak samo. Trudno, nasz przywódca będzie się musiał z tym pogodzić bądź wyznaczy mi słuszną karę, którą wezmę na siebie z pokorą.

Zaś już nazajutrz, z samego rana, Exon zbiera nas wszystkich razem i oznajmia, że zgodnie z posiadaną mapą przebyliśmy już połowę Otchłani w kierunku do Srebrzystych Gór. Natomiast w dalszej drodze do granicznych szczytów udamy się po zaznaczony na mapie skarb, aby powrócić do serca Pendorum z bogatymi łupami.

Nasz przywódca dobitnie zaznacza, że taką podejmuje decyzję i nie toleruje żadnego sprzeciwu. I takowego się bynajmniej nie oczekuje. Wszyscy obecni przyjmują wolę Exona ze zrozumieniem.

Tak więc postanowione – czas wyruszyć po nową i zapewne krwawą przygodę – taki przeznaczony jest nam w Otchłani los.



X. SKARB

Pod przewodnictwem Exona kierujemy się nieustannie na północ, a po pewnym czasie skręcamy na północny-zachód. Czynimy to w momencie, gdy dojeżdżamy to skraju równiny – rozległego stepu porośniętego żółtą trawą. Według posiadanej przez nas mapy wypłaszczonego terenu przed nami jest po prostu olbrzymi. Natomiast w jego sercu mamy odnaleźć skałę w kształcie kopuły. To właśnie w niej powinien znajdować się poszukiwany przez nas skarb.

Zaopatrzeni w suszone mięso i jadalne liście wyruszamy do nieodkrytego terytorium. Początkowo odnosimy wrażenie, że ta część Otchłani jest całkowicie opustoszała. Gdziekolwiek natrafiamy jedynie na pojedyncze niewielkie zwierzęta, które służą nam za dodatkowe pożywienie, a są to króliki, świstaki lub węże.

Za dnia jedziemy niespiesznie, oszczędzając własne siły oraz naszych rumaków. Podczas dłuższych postojów, szczególnie w nocy, każda z naszych par tradycyjnie szuka sobie możliwie ustronnego miejsca. Choć na otwartej przestrzeni, gdzie się znajdujemy, praktycznie pozbawionej drzew, o całkowitej intymności nie ma mowy.

Z tych względów tylko sporadycznie kocham się z Exonem i czynimy to wyłącznie, gdy sądzimy, że pozostali już śpią. Częściej spędzamy wieczorny czas, ćwicząc razem walkę. Choć zaangażowaniem w doskonaleniu bitewnych umiejętności obecnie znacząco ustępujemy Ravelowi oraz Viri.

Ta para okaleczonych osób w swoim towarzystwie szybko zyskuje wzajemne wsparcie, które skutkuje tym, że podnoszą się oni zarówno fizycznie, jak i duchem. Odkąd są znowu razem, prawie nigdy nie widuję ich w miłosnych uściskach. Za to nieustannie dostrzegam, jak z wielką

pasją ćwiczą. Viria z tarczą oraz toporem, a Ravel z uszytą mu przez Adorę siecią i dzidą zabraną Isikom.

Widać ta para, pomna swej dotychczasowej klęski i jej tragicznych konsekwencji, pragnie się stać teraz wręcz niepokonana, aby nigdy więcej nie dopuścić do własnych upokorzeń. Doskonale ich rozumiem, w pewnym sensie podziwiam i życzę im tego całą sobą.

Pozostaje jeszcze Adora z Gabu. Ich ćwiczenia z bronią odbywają się tylko sporadycznie. Najczęściej tulą się do siebie i prowadzą niekończące rozmowy. Słyszę je nieraz, nawet już zasypiając, są niczym rzeka słów wijąca się w przestrzeni i układająca mnie swym monotonnym szmerem do snu.

W końcu jednak nadchodzi kres sielanki. Daleko za nami dostrzegamy wzbijane tumany kurzu. Według Ravela wzniecane są przez setki końskich kopyt. Czyżby to ścigający nas w tej części Otchłani Jeźdźcy Majanu?

Dzielimy się ze sobą obawami i bynajmniej nie zamierzamy pozostać zbyt długo na miejscu, by się osobiście przekonać, co do rzeczywistego rodzaju nadciągającego zagrożenia. Maskujemy, na ile to możliwe, ślady naszego obozowiska i czym prędzej wznawiamy jazdę, tym razem co raz poganiając rumaki.

Niestety szybko się orientujemy, że pościg za nami nie zwalnia, a wręcz zbliża się do nas. Zaś na domiar złego czujny wzrok Ravela wyławia na horyzoncie kolejne tumany kurzu, tym razem po naszej prawej i lewej stronie.

Wciąż nie widzimy dokładnie ścigających, ale nie jest to żadną pociechą wobec faktu, że powoli zaczynamy być w okrążeniu. Dlatego nie baczymy już na zmęczenie zwierząt pod nami, tylko zacinamy je batami, co siłą, aby zniechęcić pogoń. I wszystko to okazuje się zupełnie daremne, kiedy dokładnie naprzeciw nas wyłania się czwarta grupa jeźdźców.

To koniec, tak po prostu. Ta bolesna myśl pojawia się chyba w każdym z nas. Ilość przeciwników jest doprawdy przytłaczająca, a my nie mamy już przed nimi gdzie się skryć.

Stoimy w oczekiwaniu na licznych przybyszy, którzy zbliżają się do nas i powoli ukazują swe oblicza. Tak jak podejrzewaliśmy z jednej strony osaczają nas Jeźdźcy Majanu. Z drugiej są to amazonki Legionu Śmierci. Z

pozostałych dwóch kierunków nadciągają skrzydlate demony na pancernych rumakach oraz horda barbarzyńców na karych koniach.

Niestety inaczej, jak się to miało na jednej z aren Terraticos, wiedzę, że te odmienne grupy nie zamierzają rzucić się sobie do gardeł. Nie, w tym miejscu nie traktują one siebie nawzajem, jak wrogów. Są zjednoczone, zupełnie niczym strażnicy tego terenu.

Czy są nimi w rzeczywistości? Spoglądam na nich i dochodzę do wniosku, że nie ma to już najmniejszego znaczenia wobec tego, że zaraz wszyscy zginiemy bądź dostaniemy się w niewolę, z której już zapewne nie będzie ucieczki.

Cztery zastępy naszych wrogów podjeżdżają do nas, znacząco zwalniając, aż wspólnie łączą się w okrąg, który się coraz bardziej zawęża. Nie dobywam łuku, nie chwytam w dłonie mieczy. Jest do daremne, bowiem w me serce właśnie wymierzone zostaje kilkadziesiąt oszczepów. Więc w jaki sposób mogłabym się skutecznie obronić?

Sama niewątpliwie nie zdołam ani też w otoczeniu piątki moich kompanów. Jednakże zupełnie nieoczekiwanie przekonuję się, że jest tu z nami ktoś jeszcze. Ktoś lub coś, jakaś doprawdy niezwykła moc.

Oto nad naszymi głowami rozwiewają się gęste, szare obłoki, zupełnie jakby rozstępowały się tam niebiosy i spada na nas złocisty deszcz świetlistych promieni. Ale nie tylko one. Z jaśniejącego nieba dobywa się niezwykle potężny, ptasi skrzek, którego wibracja wprawia w drżenie całą przestrzeń. Natomiast na ziemię powoli spadają olbrzymie pióra wielkością przypominające spływające po rzece łodzie.

A zaraz z czterech stron świata dochodzą z oddali pełne gniewu złowrogie odgłosy, od których tym razem dosłownie drży ziemia. To ryk lwa poprzedzony ujadaniem psa. Za nimi dobywa się gardłowe porykiwanie niedźwiedzia, a na koniec donośne wycie łani.

Z tą chwilą otaczające nas zastępy się zatrzymują, po czym jak jeden mąż zawracają... I niebawem ponownie otacza nas jedynie spokój i cisza na bezkresnej równinie.

Dłuższy czas spoglądamy po sobie, zupełnie jakbyśmy nie byli przekonani czy doświadczamy snu, czy też jawy i liczyli, że jedni drugim wytłumaczą zaistniały fenomen. Lecz żadne z nas kompletnie nie wie,

czego tak naprawdę było świadkiem poza tym, że najwyraźniej ocaleliśmy z powodu interwencji samych Bogów. Dlaczego? To pytanie na ten czas widocznie musi pozostać bez odpowiedzi.

Za to inny sekret jawi się przed nami w nieodległej okolicy. I jak zwykle informuje nas o nim Ravel za sprawą swego ponad przeciętnego, wręcz sokolego wzroku. Otóż zauważa on kolistą skałę imponujących rozmiarów odznaczającą się na tle równinnej powierzchni. Tam też zmierzamy – do ostatecznego celu naszej dotychczasowej podróży.

W białej skale, która wielkością i majestatem przypomina wręcz zamek, znajduje się obszerne przejście. Zostawiamy przy nim spętane rumaki i dalej kroczyliśmy pieszo. Nie mija wiele czasu, a otwiera się przed nami wewnętrzna przestrzeń skalnego kompleksu, jaśniejąca bladym światłem nieznanego nam pochodzenia. Na gładkich powierzchniach białych ścian dostrzegamy monumentalne, czarne malowidła przedstawiające pięciu Bogów Pendorum w wyzywających postawach i budzących swymi wizerunkami prawdziwą grozę. Pośrodku natomiast odnajdujemy otoczone balustradą głębokie źródło. Zgodnie zatrzymujemy się przy nim i wspólnie spoglądamy w nieprzeniknioną toń. Aż głos zabiera Exon:

– Pod stopami mamy jedynie litą skałę, więc jeżeli gdzieś w tej grocie ukryte są złoto oraz kosztowności, muszą być na dnie sadzawki. I dlatego ktoś musi to sprawdzić. – Wobec tych sugestii wszyscy spoglądają na Exona, a ten zwraca się do mnie: – Umiesz pływać? – Potwierdzam skinieniem głowy. – Więc wiesz, co masz robić.

Pozostaję jedynie w przepaskach, biodrowej oraz piersiowej, i zanurzam się w chłodną toń. Kieruję się na dół tyle, ile wystarczy mi tchu, aż napotykam pod sobą twarde grunto. Z powodu mizernej widoczności macam dłońmi gładkie dno, by w końcu natrafić na jakieś przedmioty. Chwytam je i czym prędzej zmierzam do powierzchni wody. Osiągam ją i patrzę na swoją zdobycz. Rozczarowanie – naraz odczuwa to niewątpliwie każde z nas. Bowiem trzymam w dłoniach jedynie czaszkę i bielejącą w moim ręku kość przedramienia.

– Nie ma tam niczego więcej...? – pyta z nikłą nadzieją Exon. Kręcę przecząco głową, a w przestrzeni roznosi się tłumiony ręką przy ustach rechot Viri. Ten zaraz cichnie pod karcącym wzrokiem naszego przywódcy.

Wychodzę na brzeg i stoimy tak wspólnie w ciszy, nie wiedząc, co dalej począć z naszą oczywistą klęską. Wpatrujemy się tępo w lustro wody, w której głębinach nie odnajdujemy niczego poza świadectwem czyjejś śmierci w postaci sterty białych kości. Aż niepewnie odzywa się Gabu:

– Ta woda... Zauważyliście, że nie ma w niej naszego odbicia...? Tylko Anrei...

– Rzeczywiście... – stwierdza zaciekawiony Ravel i zaskoczony dodaje: – Ale co ona ma na głowie? Czy to korona...? A spod niej spływa jej po twarzy...

– Krew... – kończy złowrogo Exon, marszcząc brwi. – To jakaś czarna magia... – kwituje z niechęcią.

Jednak ja sama nie słucham mych kompanów. W swoim wodnym odbiciu nie dostrzegam bowiem zdobiącej me skronie korony. Za to widzę swą postać zupełnie nagą i postarzałą z niezwykle pomarszczoną skórą szczególnie na łonie. Do tego pozbawioną dłoni, ust oraz oczu i uszu. Słowem potwornie okaleczoną, zaś włosy mam siwe i bardzo przerzedzone

I raptem wizja niknie, gdy zostaję spoliczkowana w twarz.

– Twoje oczy! – krzyczy do mnie Viria, której uderzenie jeszcze odczuwam: – Przez chwilę zalśniły!

– Chodźmy stąd – przemawia z kolei ponuro Exon. Choć inni najwyraźniej nie chcą tak łatwo dać za wygraną:

– Puchar! – krzyczy naraz gromko Ravel. – Zapewne woda przed nami jest magiczna i posiada niezwykłą moc, tylko trzeba posiadać odpowiednie naczynie! Chyba że... – Spogląda porozumiewawczo na Virię i zaraz zachłannie chłepcą ciemną ciecz ze źródła, po czym nawzajem oglądają miejsca, gdzie posiadają widoczne ubytki swych ciał.

– Nic się nie zmieniło... – posykuje rozczarowana kobieta z Favers. I z zawziętością dodaje: – Więc bez wątpienia potrzebny jest tamten złoty puchar!

– Tak! Święty puchar starca! – wtóruje entuzjastycznie jej partner. Na co zapał tej pary gasi bezwzględnie Exon, grzmiąc:

– To koniec! Słyszycie?! Koniec! Przenocujemy tu, a potem bezwzględnie wracamy północną drogą przez Srebrzyste Góry do

cywilizacji i serca Pendorum! Nie zawrócimy w poszukiwaniu pucharu omamieni żłudną nadzieją bogactwa i mocy. Przecież to niezrozumiały cud, że wszyscy ciągle żyjemy! Ile jeszcze razy zlitują się nad nami wielcy Bogowie, jeżeli zamiast skorzystać z podarowanej nam łaski dalej będziemy ich prowokować?! – Wyciąga rękę, wskazując dumne malunki na ścianach. Odpowiada mu cisza i pokornie pochylone głowy Viri oraz Ravela.

Tak oto nadchodzi noc w tajemniczej komnacie wykutej tu w szczyrej skale nie wiadomo jak dawno temu. Zaś ja, kiedy inni już śpią, zwabiona tutejszą niezwykłością, podchodzę ponownie do tajemniczego źródła.

Spoglądam w skupieniu w jego mroczną toń i czekam, aż pojawi się jakaś wizja, za sprawą której zrozumie coś więcej z przedstawianych mi uprzednio obrazów, a może w ogóle ze swego życia. Jednak dłuższy czas nic się nie dzieje.

Wtem odczuwam za sobą czyjąś obecność. Po dość ostrawym zapachu rozpoznaję Exona. Kładzie mi dłoń na karku, potem ramieniu i powoli zjeżdża opuszkami palców po plecach, łaskocząc mnie.

Znam ten rodzaj dotyku i wiem, co oznacza. Dlatego wypinam nieco pośladki, aby dać do zrozumienia, że nie mam nic przeciwko temu, czego oczekuje ode mnie mój kochanek. On odwiązuje mi przepaskę biodrową, przez chwilę gładzi moje krocze, co w tej chwili bynajmniej nie sprawia mi przyjemności i inicjuje cielesną miłość. Kołysząc się oraz moją osobę, pochyla mnie nisko nad lustro wody i wygląda ponad moim ramieniem. I tym razem widzę go w wodnym odbiciu niczym w zwierciadle.

Naraz zauważam, że jego twarz ulega zmianie. W lustrzanej cieczy przyjmuje ona oblicza kolejnych mężczyzn, czyniąc to coraz szybciej, aż ukazana mi zostaje naprawdę wielka liczba męskich wizerunków. Co więcej, odnoszę dziwne wrażenie, jakbym skądś znała te wszystkie postacie.

W końcu przemiana twarzy jednych w drugie zwalnia i dłuższy czas widzę oblicze Avesa. Uśmiecham się na ten widok i raptem czuję w swym ciele narastająca rozkosz płynąca z miłosnego aktu. Sama mocniej naprężam pośladki oraz nimi faluję. Lecz zaraz marszczę brwi, kiedy w miejsce mego ukochanego dostrzegam Otcha, a potem jego brata. Mam

wręcz ochotę splunąć do tajemniczego źródła, ale znowu rozpoznaję twarz Exona.

Wtem mężczyzna za moimi plecami postępuje głośniejsze i zaraz czuję jego nasienie na swoich pośladkach. Nie mija kolejna chwila i pozostaję przy ciemnej toni sama, półnaga i bynajmniej z różnych względów niezaspokojona.

Wówczas, choć nie ma już nikogo innego ze mną, całą wodną przestrzeń zajmuje inne, męskie oblicze. Wydaje się ono tak bardzo znane i w jakiś sposób darzę je wielkim uczuciem, ale nie wiem, do kogo należy. Wyciągam ku niemu rękę, zupełnie jakbym mogła pogłodzić te nowe rysy twarzy, a wtedy obraz się rozmywa i nic więcej już sobą nie przedstawia poza czystym lustrem wody.

Zastanawiam się, jaki to wielki skarb tak naprawdę może skrywać to źródło. Odpowiedź mnie zaskakuje. Czyżby mógł to być rodzaj przepowiedni? Odkryciem dla mnie samej miałby być wizerunek następnego mężczyzny, który zagości w moich ramionach, mój nowy kochanek, który właśnie został mi objawiony? A może nawet mój najprawdziwszy, jedyny? Na te myśli kręcę tylko bezradnie głową i odchodzę, by zaznać snu w objęciach Exona.

Nazajutrz ruszamy dalej na północ. Wszak czynimy to bez spodziewanych, bogatych łupów, ale za to na przekór wszystkiemu wciąż żywi i przede wszystkim mając u boku siebie nawzajem. To dar, który coraz bardziej doceniam i znaczy dla mnie więcej niż każde innego bogactwo. Szczególnie zaś złoto, którego nigdy nie posiadałam i przez to nie pragnę go ani trochę.

Tymczasem po kilku dniach jazdy konnej opuszczamy wielką równinę, ze skrywającą ją, nieodkrytą przez nas tajemnicą. Obecnie pośród niezbyt gęstych lasów i łąk natrafiamy na posterunek łowców niewolników.

Skuteczny kontakt nawiązuje z nimi Adora, która przehandlowuje część posiadanych przez nas worków z żywicą krwią. Dzięki temu udajemy się do większego obozowiska łowców, gdzie zamierzamy nabyć potrzebne nam zapasy. Lecz, aby dobrze wypocząć przed dalszą drogą, zdobywamy się na coś jeszcze. W osadzie łowców na jedną noc wynajmujemy cały dom i każda z naszych trzech par otrzymuje samodzielny pokój.

Tym sposobem, po raz pierwszy w życiu, trafiam przed najprawdziwsze w świecie łóżko. Zasłane jest białym prześcieradłem oraz znajdują się na nim puchowe poduchy i kołdry. Są one tak nieskazitelne, że nie śmiem sprawdzić ich miękkości niezbyt czystymi dłońmi. Dlatego najpierw idę się dokładnie umyć w pobliskim strumieniu. Gdy powracam, czeka już na mnie w pościeli nagi Exon.

Sama także się rozbieram i ostrożnie, a wręcz z pietyzmem gramolę na łożo. Jest to mebel, o którym do tej pory jedynie słyszałam, nawet nigdy nie mając okazji zobaczyć go na własne oczy.

Zasiadam na środku i kołyszę się lekko, odczuwając z zadowoleniem sprężynującą powierzchnię. Jednocześnie gładzę niemal z uczuciem miękkie poduchy i kołdry, a Exon czyni to samo z moimi pośladkami oraz piersiami.

Ciągle jestem szczególnie zaabsorbowana nowym otoczeniem, lecz kątem oka widzę, że w moim kochanku narasta żądza i zdaje się on już nie dostrzegać niczego poza moją własną osobą. A zaraz z powagą do mnie przemawia:

– Może i nie odnaleźliśmy spodziewanego skarbu, ale to nie znaczy, że po powrocie do serca Pendorum będziemy biedować. Taki właśnie dom z licznymi pokojami, łóżkiem i pościelą sprawimy sobie, ale uczynimy to ciężką i honorową pracą. Obiecuję ci to... – Całuje mnie w usta i dodaje: – A, jako że znajdujemy się już w pobliżu Srebrzystych Gór, to nie chcę dłużej zwlekać z tym, co nam od początku pisane. – Spogląda na moje łono. – Pragnę, abyśmy poczęli pierwsze z naszych dzieci tu i teraz, w pościeli, jak godni tego luksusu ludzie. I z dachem nad głową, a nie jak zwierzęta w lesie czy na łące pod osłoną nocy. Lecz jako moja przyszła żona musisz mi całkowicie zaufać, musisz być już na zawsze bezwzględnie posłuszna, rozumiesz?

Moją odpowiedzią jest to, że kładę się na plecach na łóżku i ściągam na siebie mego kochanka, a zaraz przyjmuję go w siebie.

Tak, jak już kiedyś o tym rozmyślałam, także obecnie nie wzbraniam się przed innym życiem, a nawet pomysł o odłożeniu oręża kusi mnie i pociąga coraz bardziej. Również na swój sposób nęcące jest to, że oddam swój los w czyjeś ręce i nie będę już więcej podejmować trudnych decyzji. Słowem

zrzucę z siebie brzemień odpowiedzialności, gdy we wszystkim już na zawsze będzie decydował wyłącznie mój mąż.

Przeto kocham się z Exonem w miękkiej pościeli, a łoże pod nami rytmicznie faluje, wydając niczym kochanka, zamiast mnie samej, jęklive odgłosy. Ja zaś pogrążam się w zamyśleniu, jak to jest mieć pełne ono, a potem trzymać w objęciach własne dziecko i karmić je swoją piersią. Wydaje mi się to czymś cudownym, niezwykłym, prawdziwym bogactwem i tak, naprawdę pragnę tego.

Pragę – powtarzam sobie, gdy Exona napina wszystkie mięśnie i chwytą mnie mocniej w ramiona, a przy tym przyspiesza oddech. Już wiem, co się zaraz wydarzy i jest na to gotowa, tak gotowa, jak nigdy dotąd.

Naraz ktoś gwałtownie otwiera drzwi do pokoju. Nasz przywódca nie reaguje i bynajmniej nie zwalnia swych ruchów. Zaś ja obejmuję mocno jego plecy i wyglądając ponad męskim ramieniem, zauważam w progu Ravela. Ten spogląda mi w oczy, przenosi wzrok na moje szeroko rozchylone uda, po czym ogniskuje spojrzenie na mężczyznę pomiędzy nimi. Sama przytrzymuję Exona mocno przy sobie i zaplatam wokół niego nogi, dając do zrozumienia, że należy do mnie. I nie przeszkadza mi, że dziecko w moim łonie zostanie poczęte w obecności Ravela.

– To już zaraz... W imię Bogini Harremid daj mi syna... – jęczy Exon. Natomiast partner Viri niespodziewanie wypala:

– Kalilla!

Z tą chwilą nasz przywódca zastyga gwałtownie w bezruchu. Jego uścisk na mnie się luzuje aż całkiem mnie puszcza. A w przestrzeni ponownie rozlega się donośny głos, tym razem Viri:

– Adora znalazła Kalillę! Ona żyje! Więziona jest tu, w pobliżu, przez Demony Mroku!

Zapada dłuższa cisza aż Exon z wolna podźwiga się ze mnie. Staje na równe nogi i jak do innej osoby niż jeszcze przed niespełną chwilą, oschle do mnie rzuca:

– Ubierz się, natychmiast, i wyjdź z mojego pokoju. Zabierz swoje rzeczy i dołącz do reszty. Zaraz wyruszamy.



XI. LADACZNICA

Jeszcze tej samej nocy gnamy konno do siedziby Demonów Mroku. Wstrzymujemy rumaki nieopodal szeregu bloków skalnych ułożonych poziomo jedno na drugim, które w tym miejscu tworzą istny labirynt. Gdzieś dalej w tym kierunku, pomiędzy skał, dobywają się żałosne dźwięki jękliwego zawodzenia, a w górę wzbija się blada luna z palonych ognisk.

Skradamy się do tych znaków bytności żywych istot w nadziei odnalezienia tam Kalilli. Pierwszy idzie Ravel, mogący się poszczycić wyjątkowym wzrokiem. Tuż za nim z obnażonym już mieczem stąpa Exon, a dalej Viria i ja sama. Pochód zamykają Gabu z Adorą.

Naraz mężczyzna z chanatu Precis wznosi dłoń, aby wszyscy się zatrzymali. Znad jego ramienia wygląda w napięciu Exona, pod drugim pojawia się ciekawska Viria. Osobiście kucam z boku i parzę przed siebie z wysokości kolan Ravela.

Ukazuje mi się rozległy plac otoczony skalnymi nawisami, a dalej głęboka pieczara. Tuż przed nią siedzi na bloku skalnym znana mi już postać przedstawiciela skrzydlatych demonów. Ten konkretny w jednej dłoni trzyma upieczoną ludzką goleń, którą od niechcenia obgryza. W drugim ręku ściska łańcuch, którym co raz szarpie. Do jego drugiego końca, zwieńczonego kolczastą obrozą, przykuta jest naga Kalilla. Wykonuje ona zmysłowy taniec, a przyglądają jej się inne bestie, czarne maskary, konsumujące surowe lub upieczone części ludzkich ciał. Zaś co pewien czas, któryś z mniejszych potworów podchodzi do Kalilli, aby zatopić kły w jej ciele i napić się świeżej krwi. Za każdym razem, kobieta, jakby pogrążona w hipnotycznym transie, nie reaguje i daje się okaleczać.

Rozglądam się wokół, szacując ilość i zdolność bojową przeciwników, a także zastanawiając się nad sensowną taktyką ataku i szansami jego

powodzenia. Gdy naraz tuż nade mną dobywa się złowrogi głos niczym grzmot pioruna:

– Naprzód! – krzyczy Exon i samotnie porywa się wprost na demona więżącego Kalillę. Bez namysłu gnam za mężczyzną z Saladior i zaraz znajdujemy się tuż przed skrzydlatą bestię, a wówczas gwałtownie odpycham naszego przywódcę. I w ten sposób ratuję mu życie, spychając go z linii cięcia mieczem wrogiego demona.

Wygląda na to, że tylko ja zdaję sobie sprawę z rangi tego przeciwnika. Ponieważ Exon obrzuca mnie lekceważącym spojrzeniem i ponownie atakuje bestię, koncentrując uwagę na jej ręce, w której ciągle dzierży łańcuch.

Tak oto za naszymi plecami dochodzą nas odgłosy rozgorzałej bitwy naszych kompanów z pomniejszych potworami. Natomiast mi oraz Exonowi przychodzi się zmierzyć z demonicznym hersztem.

Choć jest to wielce niebezpieczne, uzbrojona w dwa miecze czynię jeden i drugi wypad, atakując i w ten sposób odciągam uwagę naszego wroga od Exona. Dzięki temu miecz naszego przywódcy dosięga demonicznej kończyny ściskającej kurczowo łańcuch, ale pozostawia na niej zaledwie płytką ranę. Z kolei demon okręca się w kierunku mężczyzny Saladior i uderza w jego kierunku długim ostrzem. Cios zostaje sparowany, ale jest do tego stopnia potężny, że kładzie Exona na ziemię. To jednak szansa dla mnie.

Pruję ostrzami po plecach demona i nie czekając na kontratak, nurkuję pod jego nogi. Tuż nade mną śwista ostrze obcego miecza, a zaraz potem jego ostra część ryje w ziemi tuż koło mojej osoby, która przetacza się na bok. Gdy naraz monstrum rozczapierza skrzydlate ramiona.

Zauważam, że Exon wbił potworowi miecz w plecy i ostro na niego napiera. Sama skaczę na równe nogi i przecinam moimi ostrzami linię ataku mrocznej bestii, czym ponownie ratuję Exona przed niechybnym trafieniem. Jednocześnie mężczyzna z Saladior zaciska zęby i pcha swym orężem jeszcze silniej, coraz bardziej zagłębiając je w plecach demona.

Ten wyje przeraźliwie, a zaraz zaczyna charczeć, kiedy wokół grubej szyi okręca mu się kolejnymi warstwami łańcuch Kalilli. Kobieta włącza

się do akcji i obiega potwora, po czym dusi go coraz mocniej, aż pada on na swe kostropate kolana.

Sama skaczę przed oblicze śmiertelnego wroga i błyskawicznie umieszczam dwa ostrza w jego ognistych ślepiach. Przestrzeń wypełnia koszmarne wycie. Wyciągam miecze i z okaleczonych oczodołów wylewa się fontanna zielonej, palącej cieczy. Wtedy wbijam ostrza w to samo miejsce, czyniąc to jeszcze głębiej. W tej samej chwili miecz Exona przebija się przez cały korpus monstrum, wychodząc na drugą stronę i niemal dosięgając mego ciała.

I nagle, zamiast zgodnie z oczekiwaniami skonać, w niewytłumaczalny sposób poraniony potwór wyzwała w sobie wielką siłę. Zaciskający się łańcuch na jego szyi pęka, a sam demon zsuwa się z miecza Exona i uderza szponiastą dłonią na oślep, trafiając mnie w opancerzone ramię.

Padam oszołomiona na ziemię, a oślepiiony przeciwnik unosi nade mną miecz. Jednocześnie zauważam z boku uzbrojonego Exona, który obserwuje tę scenę z dziwnym spokojem i nie reaguje.

Na pomoc rzuca mi się Kalilla, ale mężczyzna z Saladior łapie ją wpół i cofa się, by zniknąć z kobietą w mroku nocy. Z kolei demoniczny miecz spada wprost na mnie i naprzeciw niego w ostatnim momencie wysuwam skrzyżowane ostrza. Pod wpływem siły ciosu trzymane przeze mnie miecze zostają rozchylone na dwie strony, a demoniczna broń zatapia się w mój metalowy napierśnik. Daje się słyszeć zgrzyt metalu o metal i ostrze demona pozostaje w mej zbroi. Następnie potwór wyrywa swą broń z napierśnika. Wtedy, zanim ponowi cios, ogarnia mnie jakaś szalona, wręcz nieokiełznana furia. Moje oczy się rozświetlają, tchnąc jakby we mnie dodatkową moc, po czym wyskakuję do góry i podwójnym uderzeniem ostrzami odcinam demonowi okaleczoną głowę, która leci wysoko w przestrzeń.

Opadam w przykłęku na ziemię, a moje oczy przestają lśnić. W tym momencie zdaję sobie sprawę, że bitewna wrzawa także cichnie. Za to na pobojuwisko padają pierwsze, jasne promienie słońca.

Tak oto wraz z końcem krwawej bitwy zastaje nas blady świt. Mroczny demon zostaje pokonany, a wraz z nim uśmiercamy jego kilkunastu pokracznych kamratów ni to ludzi, ni nietoperze.

Niebawem przechadzam się niespiesznie po poboju, normując oddech, podczas gdy pozostali szukają łupów wśród pokonanych, ale nie wszyscy. Kalilla już bez kolczastej obroży, za to okryta kocem, podchodzi do mnie razem z Exonem. Dłuższy czas wpatruje się we mnie z dziwnym wyrzutem, aż jej surowe oblicze tężeje, wyrażając prawdziwą pogardę i kobieta siarczyście uderza mnie w twarz.

– Dziwka... – posykuje do mnie. – Exon wyznał mi o was prawdę... Jak mogłaś, ty... – Przyjmuję silne uderzenie w drugi policzek, a potem splunięcie w twarz.

– Chodźmy, już po wszystkim, najdroższa...– oznajmia łagodnie do Kalilli Exon. Przytula ją do siebie i całuje w czoło. Następnie oddalają się ode mnie, a ja słyszę jedynie ciche łkanie uwolnionej kobiety z Razzinal. Ponadto spoglądam na masującego jej ramiona Exona mojego byłego kochanka, mężczyznę, który dopiero co, zeszłej nocy, obiecywał mi wspólne życie, dom oraz dziecko.

Siadam na skale i pociągam nosem. Raptem zdaję sobie sprawę, że i z moich oczu skapuje łza na pokrytą zieloną krwią ziemię. Nagle, mimo że zwycięska, to znowu jestem sama, zupełnie samotna, jedynie z moimi mieczami – patrzę na nie z pewnym smutkiem.

Przez chwilę wspominam tęsknie Avesa, z którym również nie spędziłam tak wiele czasu, jakbym pragnęła. I oto przebiega mi przez głowę myśl, że muszę być przeklęta. Tak, przeklęta i żyję, by cierpieć, niewątpliwie. Me istnienie podrzuca mi jedynie nędzne ochłapy zadowolenia, zaś o prawdziwym, trwałym szczęściu, mogę jedynie ulotnie śnić.

*

Z siedziby Mrocznych Demonów wyruszamy prosto ku Srebrzystym Góróm, których wyniosłe, białe szczyty jawią się nam w oddali. I nie wiemy, czy to przypadek, czy może nasze ocalenie zawdzięczamy łasce przewrotnych Bogów. Tak czy inaczej, pozostaje nam już tylko jedna przeszkoda do pokonania. Górskie pasmo oddzielające nas od serca Pendorum. Naprawdę już tak niewiele nam braknie, by pozostawić przeklętą Otchłań za sobą.

Z kolei w niej samej, tej okrutnej krainie, pewnie pragnęlibyśmy pogrzebać również niektóre ze swych czynów obecnie nieprzynoszących nam chluby. Ja sama chyba najbardziej żałuję zszarganych relacji z Kalillą. Ta dumna postać, niegdyś tak mi pomocna i życzliwa, teraz odwraca się ode mnie. Oczywiście jasne jest, dlaczego tak czyni. Czuje się ona oszukana i okradziona z kochanka przez moją osobę. Lecz osobiście nie doszukuję się w sobie winy.

Natomiast po gwałtownym rozstaniu z Exonem szybko odnajduję nawet niespodziewaną ulgę z tego powodu. Może i rzeczywiście bez Kalilli stworzylibyśmy razem dom i prawdziwą rodzinę. Może, ale na ten czas bardzo w to wątpię, wspominając mężczyznę, który dopiero co pozostawił mnie na pastwę Mrocznego Demona.

Rozumiem jego złe intencje, w jednej chwili mógł cudzymi rękoma pozbyć się mnie samej, nagłego problemu. Dzięki mej śmierci nie musiałby wyjawiać Kalilli prawdy o tym, że byliśmy kochankami. A tak zmusił go do zwierzenia się jego własny honor, będący czasem niczym kula u nogi.

I cóż z tego, skoro ta pozorna wina i tak spada na mnie. Ale nie, nie myślę się tym przejmować, żałamywać rąk czy ronić więcej łez. Zbyt wiele przeżyłam już rozczarowań oraz oskarżeń, aby jak dziecko utyskiwać z tego powodu, że ktoś nagle życzy mi źle, aby tym mocniej zamaskować własne niedoskonałości.

Tymczasem jest noc, a my odpoczywamy ostatni raz na miękkiej trawie. Bowiem od jutra pod naszymi własnymi stopami i kopytami wierzchowców będzie już tylko zimny śnieg i lód Srebrzystych Gór.

Po skromnym posiłku kładę się samotnie koło ogniska i odprężona powoli usypiam. Rozluźniam kontrolę nad swoim ciałem, a mój duch ukradkiem zrywa się z cielesnej niewoli, po czym podąża wyzwolony w mrocznej przestrzeni. Lecz jak zwykle zwabiany jest przez moich znajomych, zupełnie jakby nie mógł być wobec nich obojętny. I zapewne rzeczywiście nie jest.

I tak przyglądam się Exonowi oraz Kalilli. Mężczyzna stara się pocałować kobietę w usta, ale ona się odwraca. I zaraz tłumaczy, że przeżyła ostatnio zbyt wiele tragicznych sytuacji związanych ze swą cielesnością, aby mogła się teraz oddać miłości. Mówi, że czuje wstręt do

swego zbrukanego ciała i potrzebuje czasu, aby dojść do siebie. Exon kiwa ze zrozumieniem głową i czule ją obejmuje, całując dla odmiany w czoło.

Jednak mi samej coś tu nie pasuje. Ponieważ w tej chwili mój duch widzi więcej, wyraźniej, zupełnie jakby uczył się przenikać cudze umysły oraz dusze i naraz już wiem. Kalilla doświadcza właśnie nie tylko obecnej traumy, ale i dawnej. Nie jest ona bowiem arystokratką z Razzinal, za którą się podaje i nigdy nią nie była. Zanim została niewolnicą, ta kobieta egzystowała w swej ojczyźnie jako zwykła dziwka.

Patrzę w zadumie na pogrążoną w objęciach parę. Widzę dwie postacie, które tak wiele łączy, ale wciąż dzieli je prawda o nich samych, której pomimo swej bliskości nie mają odwagi sobie wyjawić.

Już pragnę oddalić się od kowala i ladacznicy, kłamców, odgrywających arystokratyczną parę, gdy słyszę szeptem wypowiedane słowa Exona, a wymierzone są wprost w moje serce. Traktują o tym, że zawsze kochał on tylko swą jedyną, prawdziwą miłość, Kalillę. Bez niej czuł się samotny oraz nieszczęśliwy i dlatego dał się podstępem uwieść. Mężczyzna ten nazywa mnie nędzną namiastką i poprzysięga, że za każdym razem, kiedy się ze mną kochał, oczyma wyobraźni widział wyłącznie swą Kalillę. Zaś obiecane mi dom i dzieci były pustymi słowami pociechy, które słał słabej na umyśle istocie, czując się do tego zobowiązany.

Nie słucham tego, co odpowie Kalilla. Nagle słowa tej rozmowy są dla mnie niczym szum wiatru czy szemrzący strumień i nic konkretnego nie znaczą. Czuję, że te osoby pragną jedynie podtrzymać swoją złudną wizję własnego świata. Ale to nie mój świat, więc nic tu po mnie.

Następnie zatrzymuję się koło Ravela oraz Viri. Właśnie kończą nocny trening i zdyszani raczą się wodą z bukłaków. Jestem gotowa na ich pełne rezerwy wyznania na temat mojej osoby. Oni jednak wspominają mnie o dziwo z sympatią. Podnoszą kwestię, że w obecnych okolicznościach, gdy nie jestem już kochanką Exona, nie jestem też pod jego przemożnym wpływem. Sugerują, że w razie konfliktu w grupie oraz różnicy zdań być może będą mogli liczyć na to, iż stanę po ich stronie. Z zaciekawieniem zauważam, że być może mają oni w tym względzie rację. Teraz bowiem czuję się bardziej niż kiedykolwiek przedtem wolna i nie krępuje mnie już ślepe posłuszeństwo wobec przywódcy.

Na koniec odwiedzam jeszcze Gabu oraz Adorę, a ściągają mnie do nich czysta ciekawość. Co też powiedzą o mnie? Lecz okazuje się, że moja osoba kompletnie nie zaprzęta im na ten czas głowy, a zaabsorbowani są wyłącznie sobą. Oni... po raz pierwszy zaczynają się kochać. I słyszę, że dla Gabu jest to w ogóle pierwszy raz.

Patrzę, jak niezgrabnie się rozbierają nawzajem i szukają dla swego zbliżenie dogodnej pozycji. W tym, co akurat demonstrują, są tacy nieporadni. I pewnie powinnam czym prędzej ich opuścić, aby zapewnić im należną intymność. Ale wręcz nie mogę oderwać od nich wzroku. Albowiem dochodzę do wniosku, iż jestem świadkiem czegoś absolutnie wyjątkowego, czystego. Podejrzewam wręcz, że oto najpiękniejsza cielesna miłość, jaką kiedykolwiek podziwiałam. Tak szczerą, prostą i oczywistą. I jestem przekonana, że uczestnicy tej miłości naprawdę się całym sercem kochają.

A ja? W końcu powracam do mego samotnego ciała, a mym jedynym kochankiem będzie ponownie otulający mnie nocny mrok. Chociaż nie, nie tylko on. Zasypiając, spoglądam w zadumie na rzucany przez moją osobę cień, to także mój wierny towarzysz zawsze tak blisko mnie.



XII. MATKA CIENÍ

Postawny barbarzyńca staje na podwyższeniu naprzeciw swych zbrojnych ludzi. Czyni to, gdy jest już noc, a okolicę rozświetla erupcja pobliskiego wulkanu, z którego szczytu spływają potoki gorejącej lawy. Podobnie w przywódcy pól dzikich wojowników gotuje się wręcz ognisty gniew i niemal w nim eksploduje, gdy mężczyzna wznosi topór i z nienawiścią przemawia:

– To ona, ta suka! Zabija mojego brata swym splugawionym kłutwą ciałem! To ona, ta suka, zabija i mnie! Lecz zanim Otchłań mnie ostatecznie pochłonie! Zanim tu zdechnę! Zaprawdę powiadam, że zemszczę się! – Na znak poparcia w górę uniesionych zostaje dziesiątki włóczy, a z gardeł wojowników dobywa się donośny, dziki ryk. Zaś wtóruje mu wojownicze pokrzykiwanie przywódcy: – Zemszczę się! Zemszczę na tej, która stworzyła piekło Otchłani i sprawiła, że każdym pokoleniu cierpimy za jej własny, plugawy grzech!

*

Już na początku przeprawy przez Srebrzyste Góry docieramy do niewielkiej, pokrytej śniegiem kotliny skąd w dalszą drogę wiodą dwie przełęcze. Jedna dość stroma i mocno zaśnieżona, za to znacząco skracająca drogę. Druga wiedzie bardziej okrężną trasą, która wydaje się dość uczęszczana, a podejście jest tu łagodne.

– Podążymy głównym szlakiem. Nie zaryzykujemy karkołomnej wspinaczki i ściągnięcia sobie na głowy lawiny śnieżnej – oznajmia po chwili namysłu Exon, wskazując pozostałym, jakiego dokonuje wyboru.

– To błąd, który może wiele kosztować – nie zgadza się z przywódcą Ravel. – Mówiłem wam, podczas ostatniego zwiadu widziałem za nami liczne grupy barbarzyńców podążających w tę stronę. I jak nic wybiorą oni swój własny, uczęszczany szlak.

– On może mieć rację – stwierdza Kalilla. – Na terenach barbarzyńców lepiej nie trzymać się głównych traktów.

– Milczeć! – grzmi na to nasz przywódca. – Podjąłem już decyzję i zabrania wam ją kwestionować. To nie jest temat do dyskusji!

Wobec tego wybuchu kobieta z Razzinal pokornie pochyła głowę i staje konno tuż koło swego partnera, wspierając go. Za to Viria z drwiącym uśmiechem na ustach wiesza się na ramieniu Ravelowu, dając do zrozumienia, że to jemu udziela wsparcia.

I naraz wszyscy wpatrują się we mnie. Ja zaś nie zamierzam kierować się własnymi sympatiami czy uprzedzeniami, tylko szacuję różne za i przeciw podążania jedną z możliwych dróg. Następnie staję odważnie koło Ravela.

– Mściwa suka... – syczy w moim kierunku Kalilla, ale nie zamierzam się dać sprowokować.

Gdy wtem z oddali dobiega krzyk Gabu. On oraz Adora zostali nieco z tyłu i dopiero teraz nas doganiają. Lecz widać po nich, że coś wzbudza ich poważną trwogę.

– Co jest, mówcie! – grzmi do przybyszy Exon.

– Barba... barbarzyńcy! – drze się rozpaczliwie Gabu i pogania ciężko człapiącą pod nim kobyłę. – Widzieli nas z dołu, a my ich... z góry... – sapie... – I krzyczeli do nas... To jest ich herszt, imieniem Otch... że idzie wyrwać z piersi bijące serce... serce Anrei...!

– Zatem...? – Exon obrzuca nas złowrogim spojrzeniem i wskazuje główny trakt. – Ja z Kalillą ruszamy tędy tak jak postanowione. Kto zaś chce zdradzić moje przywództwo, droga wolna w każdym innym kierunku. Ruszamy!

Mężczyzna z królestwa Saladior wyrywa galopem razem z Kalillą u boku. Zaraz za nim jadą konno Gabu z Adorą. Sama spoglądam na Virię oraz Ravela. Ten ostatni rozkłada bezradnie ramiona i rezerwowo oświadcza:

– W tych okolicznościach... – zawiesza głos i krzyczy na całe gardło: – w kupie siła! – Po czym gna z partnerką za resztą grupy. Zanim sama za nimi podążę, odwracam się jeszcze w kierunku, skąd nadciągają barbarzyńcy, a zaraz także poganiom co sił wierzchowca pode mną.

Przełęcz, którą podążamy, wije się zygzakiem pośród górskich szczytów, dzięki czemu możemy podziwiać w dole niższe partie przebytej już przez nas drogi. W ten sposób zauważamy tam tabuny gnających konno barbarzyńców, czyniących to w ślad za nami. Jest ich około setki, co przekreśla jakiegokolwiek szanse na skuteczną konfrontację. Dlatego jedyną możliwością na ocalenie jest ucieczka. Jednakże o tą będzie niezwykle trudno, bowiem nasze konie są coraz bardziej zmęczone i osiągając płaski teren na szczycie, już niemal z ledwością powłóczą kopytami.

Odjeżdżamy jeszcze kawałek po równinnym terenie, ale tuż przed drogą prowadzącą w dół do księstwa Razzinal, Exon wstrzymuje swego rumaka, a za nim czyni to reszta grupy. I zaraz padają znamienne słowa naszego przywódcy, który jak się okazuje, szansy na ocalenie oczekuje już tylko w mym poświęceniu:

– Sami słyszeliście... To po Anreę przybywają barbarzyńcy z tym Otchem na czele. Niech więc im się ona odda i tym samym stworzy nam szansę ucieczki – oświadcza Exon. – Nie wiedzę innego wyjścia! – dodaje z naciskiem.

Pozostali spoglądają na mnie bez wiary i widzę po nich, że dzielają zdanie przywódcy. Ponieważ nie śmią spojrzeć mi w oczy, a odwracają ode mnie wzrok. Więc dobrze, skoro wyrok już zapadł, niech i tak będzie – myślę. Nie żegnam się z kompanami, nie próbuję wpływać na zmianę ich decyzji ani też nie zamierzam uciekać. Po prostu nawracam mego rumaka.

Wyglądam daleko na zaśnieżony horyzont, gdzie konni barbarzyńcy ustawiają się szeroką ławą, tworząc na białym terenie, jakby szary pas. Z tej odległości nie jestem w stanie dostrzec czy zwolnili, czy też gnają na nas z impetem, lecz zaraz się o tym przekonam.

Raptem mocno poganiem wierzchowca i pędzę co sił na spotkanie mej śmierci, która ma być wybawieniem dla moich kompanów. Nie lękam się, w tej chwili nie czuję niczego. Jestem niczym strzałą, która wystrzelona w mych przeciwników zabierze ich ze świata żywych tyłu, ilu zdoła.

Znacząco skracam dystans, zdejmuję łuk z pleców, po czym gnając na czołową konfrontację, wypuszczam przed siebie kolejne zakończone grotami drzewce. Dostrzegam, że trafiam jeźdźców, a także rumaki. Do pewnego stopnia robię tym samym wyłom w środku długiego szeregu

wrogów. Następnie wpadam w tę wnękę, ale już dobywając mieczy. Zwalniam i nawracam rumaka, próbując dosięgnąć ostrzami przeciwników, aby zabrać ich jak najwięcej ze sobą. Niech mnie zapamiętają tą, która walczy, walczy do końca! Nie dam się wziąć żywcem, ponownie zhańbić, zniewolić i upokorzyć! Nie dam!

Lecz barbarzyńcy unikają krzyżowania ze mną oręża. Za to galopują wokół mnie, a w ich dłoniach widzę przygotowane sieci. Na ten widok obnażam wściekle zęby i spinam wierzchowca, aż przebiera przednimi kopytami w powietrzu. Nie, nie dam się ponownie zniewolić. Skoro mam umrzeć, jedynym moim pragnieniem jest, aby uczynić to, będąc do końca wolną!

Myślę tak i nagle w grupę osaczających mnie barbarzyńców wpada, jakby śnieżna nawałnica, wystrzeliwująca ich w powietrze i posyłająca koziołkujących po ziemi. Jednak dostrzegam, że to nie siły natury przychodzą mi z odsieczą. Ta lawina pełna jest opancerzonych rumaków, a także ciężkich zbroi, kopii i lśniących mieczy. To potężna, zakonna konnica i miażdżąca szarża w jej wykonaniu. Oto moi wybawiciele. Zauważam chorągwie z półksiężycem obejmującym słońce, od którego odchodzi pięć promieni – to zakon Arezara.

I raptem uskrzydłona wsparciem niespodziewanych sojuszników w boju sama rzucam się jak opętana do skutecznej walki. Podjeżdżam konno do najbliższego z oszołomionych barbarzyńców i tnę go bez litości przez gardło, kąpiąc się w jego ciepłej krwi, która zalewa mi twarz. Drugiemu wrogowi rozcinam klatkę piersiową, zaś trzeciemu wypruwam z brzucha wnętrzności. I pragnę jeszcze, pragnę zabijać, zabijać bez końca!

Gnam do kolejnych przeciwników i tym razem siekę ich przez plecy, kiedy nie podejmują walki, tylko uciekają w popłochu na wszystkie strony. Aż dostrzegam na czole jednego z barbarzyńców znany mi symbol – wytatuowane, promieniste oko.

To Otch! – zdaję sobie sprawę. To Otch! Poganiam ku niemu mego rumaka, lecz inni jeźdźcy zagradzają mi drogę. Dlatego chowam do pochew miecze, staję na końskim grzbiecie, wybijam się daleko do góry i szybuję w locie, po czym spadam na znanego mi barbarzyńcę.

Chwytam go za plecy i wczepiam palce w płowe futro, nie dając się zepchnąć za koński zad. Wkrótce razem wyrywamy się z otchłani bitwy i pędzimy samotnie zaśnieżoną równiną. Mój przeciwnik próbuje łokciami ciskać w moją twarz i stara się zrzucić mnie z konia. Odwdzięczam się, gryząc jego rękę i szarpiąc z całych sił za srebrne włosy.

Aż nagle Otch odwraca się i oburącz chwyta mnie za gardło. Zaś dostrzegając dłonie na rękojeściach mych mieczy, czyni gwałtowny balans ciałem i raptem lecimy razem pod końskie kopyta.

Toczymy się szybko po śniegu spleceni ze sobą. Z chwilą wytracania impetu, udaje mi się zwinnie wspiąć na mego śmiertelnego wroga. Uderzam go czołem w twarz, a następnie zadaję serię szybkich ciosów gołymi pięściami w nos, policzki i brodę.

Mężczyzna nie próbuje się bronić, tylko zdecydowanym ruchem spycha mnie z siebie. Lecz gdy wspina się na klęczki, jestem już na równych nogach i z obrotu uderzam go okutą metalem podeszwą buta prosto w twarz. Zanim pada na śnieg, poprawiam jeszcze drugą nogą.

Kolejny raz Otch już nie zamierza wstawać, tylko czołga się byle dalej ode mnie. Ale ja jestem już tuż nad nim. Chwytam go za srebrne włosy na głowie i kilka razy uderzam jego twarzą o zmarzniętą glebę. Ogrania mnie coraz większy szal! Szarpię za warkocze mojego wroga, wijące się z jego długiej brody i duszę go nimi, duszę na śmierć!

Wtem czuję obcy dotyk na swoim ramieniu. Odruchowo uderzam w tę stronę pięścią. Jednak moja zaciśnięta dłoń zostaje pochwycona w locie. Spoglądam z ukosa na sprawcę tego zajścia i dostrzegam unurzanego we krwi zakonnika. Przyglądam mu się wyraźniej, kiedy zdejmuje on hełm.

W pierwszym momencie nie rozpoznaję jeszcze całkiem młodej, męskiej twarzy. Jednakże zaraz niespodziewanie kojarzę ją z tą ze źródła w grocie Bogów. Był to ostatni z wizerunków, jaki tam ujrzałam. Ponadto te oczy... Tak, są doprawdy niezwykle i kiedyś już w nie spoglądałam. Znam te jakby lśniące spojrzenie. Należy do mężczyzny, który niegdyś pokonał mnie na arenie i jednocześnie darował mi życie, a także Avesowi.

I naraz odskakuję do tyłu, po czym w gotowości staję na nogi, nie wiedząc, czego się mogę po tej osobie tym razem spodziewać.

Tymczasem zauważam również, że barbarzyńcy zostali kompletnie rozgromieni, a oddział kilkunastu konnych zakonników ustawia się w pobliżu w zorganizowanym szyku. Natomiast moi kompani, którzy dopiero co wysłali mnie na pewną śmierć, stoją nieopodal obok swych rumaków.

Przyglądam im się, to zakonnikowi, szybko oddychając po walce i wyrzucając z rozwartych ust kłęby pary. W tym czasie, w trwającej ciszy, mocno poturbowany Otch przekręca się na plecy. Także i on ciężko dyszy, a następnie ociężale podźwiga się na kolana. Zaś ja gestykuluję do niego gwałtownie:

– „Zginiesz”!

– Już jestem martwy... – odpowiada zrezygnowany.

– „Czyżby”?!

– Tak... Ponieważ już mnie zabiłaś, czyniąc to dawno temu podczas naszego pierwszego spotkania w namiocie...

Wobec tych słów, które dane jest słyszeć i innym, patrzę na niego zaskoczona.

– „Zabiłam cię? Niby jak”?! – czynię szybkie ruchy dłońmi.

– A tak, zabiłaś! – Podnosi głos i wskazuje na mój odsłonięty tatuaż na udzie.

– „Wyjaśnij” – gestykuluję już spokojniej.

– Wiesz, co symbolizuje dziewięć czaszek zdobiących twe udo? – zapytuje mnie barbarzyńca.

– „Pokonanych wrogów”.

– Otóż to, tak! – przyznaje Otch. – Ale jakich wrogów?! – dodaje z coraz większym wyrzutem.

– „Jakich?” – Naraz ogrania mnie pewien niepokój.

– Jestem jasnowidzącym i przejrzałem prawdziwe znaczenie twego tatuażu! – Barbarzyńca pokazuje na swe czoło z malunkiem promienistego oka, potem moją ozdobioną tatuażem nogę, po czym zajadle wypala: – Dziewięć czaszek na twym udzie symbolizuje dziewięciu pokonanych wrogów, tak, ale również, a właściwie przede wszystkim, to dziewięciu martwych kochanków! Twoich kochanków! Wiedz zatem, że każdy z

pierwszych dziewięciu mężczyzn, którzy spróbują spłodzić z tobą potomka, pozostawiając w tobie nasienie, zgodnie z klątwą umrze w ciągu roku! W ten sposób mnie zabiłaś! Właśnie tak! Bo choć jeszcze żywy, to już jestem martwy!

Na te druzgocące słowa, w których odczuwam prawdę, doznaję nagłego pomieszania i robi mi się słabo, a zaraz wręcz niedobrze. W mój umysł wdziera się z bólem myśl o Avesie, o tym, że to ja sama mogłabym być przyczyną jego śmierci, a może raczej nasza miłość.

Wtem dostaję potwornych mdłości, przez co nie mogę powstrzymać wymiotów. Zginam się w pół, opieram dłonie na kolanach i raz za razem wstrząsają mną gwałtowne torsje. Zaś w tle słyszę rozpaczliwy głos Kalilli skierowany z wyrzutem do Exona:

– Powiedz... błagam powiedz, że nie zrobiłeś tego tej rudej suce... Nie zostawiłeś w niej swego... Błagam, powiedz to...

– Nie zrobiłem tego... – odpowiada niezwykle ponuro Exon. Następnie ponownie z wyrzutem przemawia Otch:

– Lecz wiedzcie, wy wszyscy tutaj zebrani musicie o tym wiedzieć, że te dziewięć czaszek symbolizuje nie tylko martwych kochanków i wrogów, ale coś jeszcze. To także dziewięć grzechów. To odwieczna, całkowita ilość występków, jaką zdolna jest pokonać za swego śmiertelnego życia mityczna Anrea, ponieważ zawsze ulega ona dziesiątemu! To właśnie jej prawdziwa klątwa, przeklętej Bogini Matki! Bo oto stoi przed wami nie kto inny, jak właśnie ona, mityczna, przeklęta Anrea, którą ja, Otch, zamierzałem zgładzić, gdy wreszcie przejrzałem na oczy!

Po tym wyznaniu nastaje iście grobowa cisza, wśród której z pogardą przemawia do barbarzyńcy Exon:

– Postradałeś zmysły człowieku, bądź kłamiesz nam w żywe oczy. Wiedz, że nic ci to nie da.

– I kto to mówi?! – krzyczy wręcz opętańczo w odpowiedzi Otch. – Zwraca się do mnie kowal, mieniący się arystokratą?! – Wbija wzrok w naraz osłupiałego mężczyznę z królestwa Saladior. – A może zaprzeczy moim słowom kłamliwa ladacznica?! – Wparuje się w raptem wielce zmieszaną Kalillę. – Złodziej! – Wytyka placem Ravela. – Zdrajczyń! – Wskazuje na Virię. Na koniec koncentruje się na zakonniku i z goryczą

podsumowuje: – Jeżeli zaś wy, otaczający mnie sami kłamcy, mi nie wierzycie, temu, który odkrywa przed wami wasze sekrety, może zawierzycie kochankowi mitycznej Anrei z zamierzchłej ery. Temu, przez którego Bogini Matka uczyniła swój grzech pierworodny, przyczynę wszystkich innych występków. Oto bowiem stoi przed wami powiernik losu mitycznej Anrei, niejaki Zan!

– Padają tu słowa prawdy. Macie przed sobą prawdziwą, jedyną Anrę, oto i ona – stwierdza chłodno zakonnik. – Potwierdzam to ja, Zan. Obecnie także rycerz Zakonu Miecza Białego Psa pod wezwaniem Boga Arezara.

Wraz z tym oświadczeniem nikt nie śmie już podnieść najmniejszego głosu sprzeciwu, by kwestionować mą boskość i każdy z mych kompanów pochyla nisko głowę. Ja sama prostuje się do pionu, wycierając resztę wymiocin z ust i oddalam się na pewną odległość, aby nikt mnie nie niepokoił.

Wspinam się na pobliskie wzniesienie, zasiadam na jego szczycie i wpatruję się w odległy krajobraz. Przedstawia on zaśnieżone księstwo Razzinal, jedno z pięciu władztw Pendorum, kontynentu, do którego podziału ponoć to ja sama się przyczyniłam, a mym przeznaczeniem jest go ponownie zjednoczyć. Przekleństwem zaś, ze względu na własne słabości, jest nigdy nie osiągnąć tego celu.

Przenoszę wzrok na wytatuowane czaszki na moim udzie i wspominam ich prawdziwe znaczenie, zgodne z przekazem Otcha. Cóż, w największym skrócie te malunki oznaczają grzechy i śmierć, czyli esencję istnienia mitycznej Anrei, mnie samej – podsumowuję z goryczą w duchu. Jest to przekleństwo, a jednocześnie posłannictwo, aby na przekór wszystkiemu sprzeciwić się złemu losowi.

Więc co pozostaje mi innego niż porwać się na niemożliwe? Jedyna odpowiedź brzmi – nic. Bowiem w tej chwili już wiem, iż cokolwiek zrobię w mym życiu, to brzemień mej zamierzchłej przeszłości zawsze będzie mi towarzyszyć niczym cień.

Wstaję hardo i się odwracam, czując tam czyjąś obecność. Dostrzegam stojącego Zana, a koło niego klęczących pokornie moich kompanów. Tak, oni też właśnie zrozumieli, o co naprawdę toczy się walka, jaka jest stawka i co wobec tego znaczą ich własne plany oraz życie. Oto klęczy przede

mną, mityczną Anreą, grupa osób, o których wiem, że teraz pozostaną mi wierne, nie zawiodą mnie więcej i w razie potrzeby ofiarują swe istnienie.

Podchodzę do nich, a moje oczy się rozświecają wielką światłością. Lecz tym razem mój duch nie umyka w przestrzeń. Całkowicie nad nim panuję i integruję ze swą cielesną powłoką.

Jako pierwszemu składam dłoń na czole Exonowi, a jest to akt akceptacji z mojej strony. Zgodnie z oczekiwaniem mężczyzna z Saladior, uderzając się pięścią w pierś, przysięga mi wierność. Następnie dotykam głowy Kalilli. Również i ona ofiarowuje mi z oddaniem swe serce i włość. Gdy składam palce na czarnych włosach Viri, słyszę, że jej topór i tarcza należą po wsze czasy do mnie i nie zawiedzie mej osoby, choćby miała własnoręcznie wyłupić swe jedyne oko. Dalej dotykam Ravela, przyrzeka on skończyć ze swymi słabościami właśnie dla mnie, aby być godnym mej obecności i swojej służby. Potem jednocześnie dotykam skroni Gabu oraz Adory. Także i te osoby oddają mi wszystko, co uważają u siebie za najcenniejsze, a mianowicie wiedzę, mądrość oraz zdolność zarządzania i pomnażania majątku.

Na koniec stoję przed Zanem. Ten mężczyzna nie klęka, a w jego oczach dostrzegam boską, świetlistą iskrę. Rozumiem, będąc w pełni Boginią, uraczyłam tego mężczyznę aspektem boskości. To dlatego nie dość, że co raz odradza się on w tym świecie, to czyni to ze świadomością o sobie z dawnych wcieleń.

Patrzemy sobie dłuższy czas w oczy, po czym mocno obejmujemy, zupełnie jakbyśmy byli parą dobrych znajomych, którzy odnajdują się po tak wielu latach i trudach. I w pewnym sensie tak właśnie jest. Choć na przestrzeni tysiącleci łączyło nas więcej, o wiele więcej. Czuję to mocniej z każdą chwilą, gdy Zan trzyma mnie w swoich objęciach.

Oswobadzam się z tego uścisku i ponownie zwracam spojrzenie ku podnóżu Srebrzystych Gór. Nabieram głęboko w płuca rzeńskiego powietrza i myślę sobie, że Otchłań, którą ponoć sama stworzyłam, wszystkich nas doświadczyła i odmieniła. Ale najbardziej mnie samą. Wiem, że nigdy już nie będę myślała i postępowała w dawny sposób.

Kim więc teraz jestem, kim się czuję, patrząc z pewną wyższością ze szczytu Srebrzystych Gór? Jestem Boginią Matką, życiem i śmiercią.

Nadzieją dla jednych, zaś dla innych ostateczną klęską. Jednakże na zawsze pozostaną też gladiatrix i po prostu kobietą. Tą, która od zawsze kocha i pragnie być kochaną, żywi zwykle ludzkie uczucia i jak każdy człowiek ma prawo i skłonność do grzechu.

– Matka Cień. – Słyszę naraz zza pleców dumny głos Zana. – Ze względu na swe dokonania w tym żywocie, gdzie wspierałaś liczne, ludzkie istoty i zawsze byłaś przy nich, kiedy cię potrzebowały, tak będziesz zwana w tym istnieniu. Matka Cień, zapamiętaj to imię i niech wspomnianie go stanowić będzie dla ciebie źródło niewyczerpanej mocy.

Matka Cień – powtarzam w duchu i zwolna kieruję się ku dolinie u stóp zaśnieżonych gór. I nie muszę się oglądać, wiem, że inni podążą w ślad za mną. Wszak cały czas będę dla nich jak matka, a oni niczym mój nieodzowny cień.



Spis treści

I. NOWY ŁĄD

II. BARBARZYŃCA OTCH

III. DRUŻYNA

IV. STARUCHA

V. KOWAL

VI. ŻŁODZIEJ

VII. UZDROWICIEL

VIII. HANDLARKA

IX. ŻYWICIELKA ŻYWICZEJ KRWI

X. SKARB

XI. LADACZNICA

XII. MATKA CIEŃ